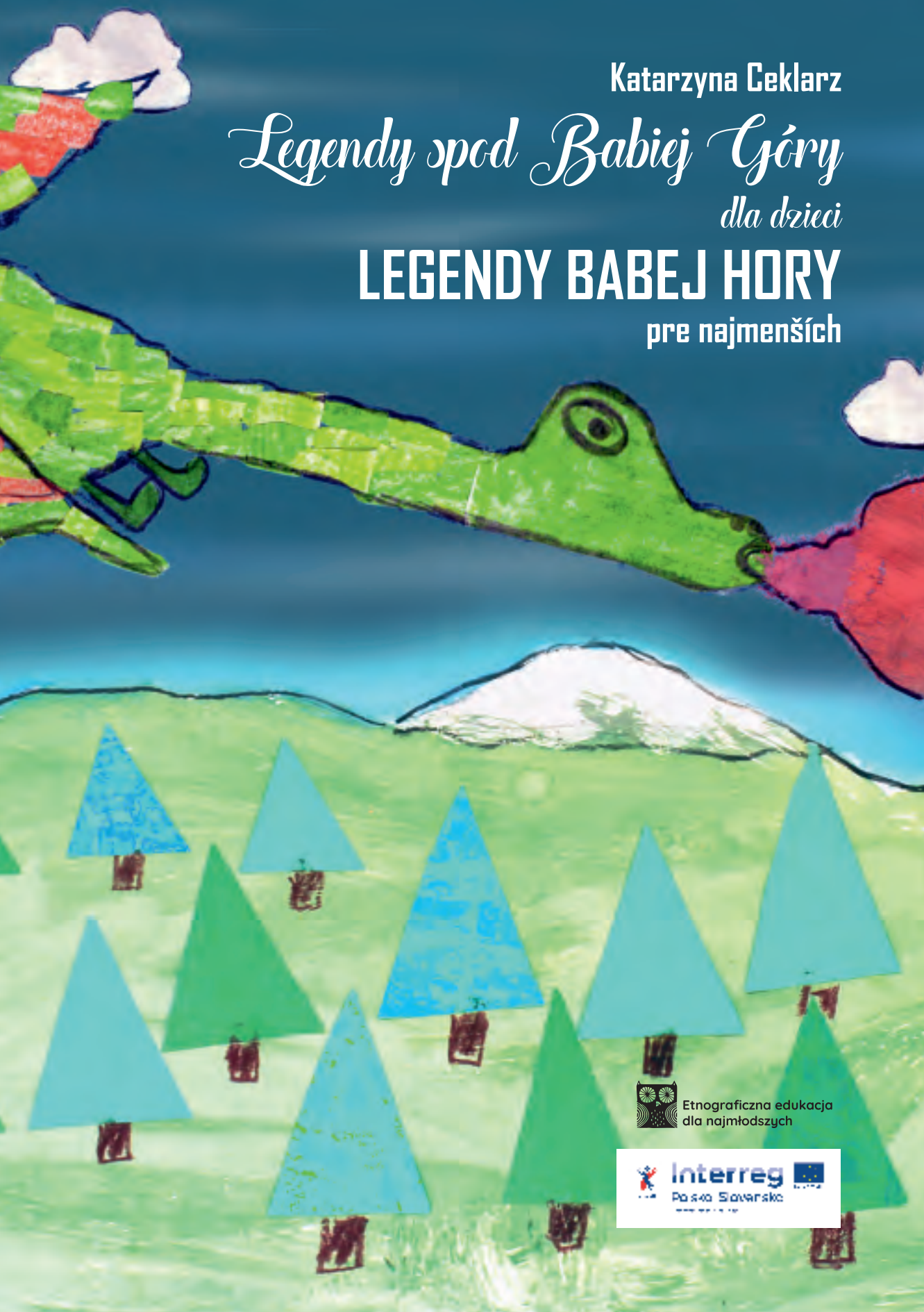
Katarzyna Ceklarz
Legendy spod Babiej Góry
dla dzieci
LEGENDY BABEJ HORY
pre najmenších
Etnograficzna edukacja
dla najmłodszych
Interreg
Polska Słowacja

© Obec Oravská Polhora
© Urząd Gminy Zawoja
„Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu bez pismenej zgody posiadaczy praw.“
„Všetky práva vyhradené. Žiadna časť tejto publikácie sa nemôže reprodukovať, ukladať do informačných systémov alebo rozširovať v akejkoľvek forme bez predchádzajúceho písomného súhlasu majiteľa autorských práv.“

Katarzyna Ceklarz: Legendy spod Babiej Góry dla dzieci /
/ LEGENDY BABEJ HORY pre najmenších

Ilustrowane przez uczniów szkół z Gminy Zawoja / ilustrovali žiaci škôl obce Zawoja

Tajemnice Babiej Góry / Tajomstvá Babej hory
INT/EB/BES/1/II/B/0105
2019

ISBN 978-80-570-0931-3

Legendy spod Babiej Góry

dla dzieci

LEGENDY BABEJ HORY

pre najmenších

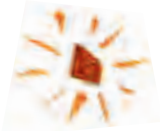

Katarzyna Ceklarz

zawartość książki / obsah knihy

3	Ignacy i anioły	6	Ignác a anjeli
8	Król węży	11	Hadí kráľ
15	Tajemnica babiogórskiego „Morskiego Oka”	17	Tajomstvo „Morského oka” na Babej hore
20	Płanetnik	22	Planétnik
25	Wizyta znachora	27	Návšteva mastičkára
31	Kość nietoperza	34	Kosť netopiera
38	Trzynaście beczek	43	Trinásť sudov
47	Biedny i bogaty	51	Chudák a boháč
54	Cztery palce	57	Štyri prsty
59	Niedźwiedź i rozum	60	Medveď a rozum
62	Święty bez	64	Svätá baza
66	Smocze podróże	70	Dračie cestovanie
72	Srebrna moneta	74	Strieborná minca
77	Okrzyn jeleni	80	Lazerník archangelikový
82	Hałeczkowa Polana	83	Halečkova poľana
86	O autorce	86	O autorke
	Ilustracje		Ilustrácie

Ignacy i anioły

Ignacy był jedynakiem. Ojciec zginął w wypadku podczas ścinania drzewa w lesie. Matka zajmowała się gospodarstwem, ale od czasu do czasu też trochę dorabiała, zdobiąc haftem koszule, gorsety i portki, przynoszone przez ludzi z całej Orawy. Choć była bardzo pracowitą i niebywale zdolną hafciarką, w domu się nie przelewało. Od śmierci ojca ledwie wiązali koniec z końcem. Głodem nie przymierali, bo ziemniaków i mleka nie brakowało, ale syci też nie byli. Matka zarówno sobie, jak i Ignasiowi wydzielała nieduże porcje jedzenia, by zapasów wystarczyło im na cały rok. Chłopiec, dzielnie pomagał w gospodarstwie – pasł krowę i kozę na miedzach, znosił z lasu patyki przeznaczone na opał, doglądał kur. Gdy skończył 14 lat, nauczył się ścinać trawę i zboże za pomocą sierpa, wiązać snopki, a nawet stawiać kopy siana, tak by wiatr ich nie rozrzucił. Świetnie znał całą Orawę, wiele razy przemierzył ją bowiem wzdłuż i wszerz, wysyłany przez matkę do klientów z gotowymi strojami.

Najbardziej lubił zimę. Było wówczas znacznie mniej pracy, więc wolny czas mógł poświęcić na słuchanie opowieści rodzinnych i sąsiedzkie spotkania. Zimowe wieczory często spędzał w towarzystwie ciotki Heleny z Zawoi, znajdującej się po drugiej stronie Babiej Góry. Podobno w przeszłości była narzeczoną zbójnika. Sama nigdy nie potwierdziła tej opinii (ale i nie zaprzeczyła), czasami tylko, gdy w jej obecności wspominano zbójników, uśmiechała się, a wówczas jej twarz nabierała blasku. Ciotka Helcia wiedziała wszystko i o wszystkich. Potrafiła wymienić koligacje rodzinne do trzech albo czterech pokoleń wstecz, znała każdego w Zawoi i wielu mieszkańców położonej niedaleko Skawicy, co powodowało, że wszyscy jej się kłaniali, gdy szła przez wieś. Lubiła Ignasia, mówiła, że jego imię przypomina jej chłopca, którego znała w młodości. Za każdym razem, gdy przychodziła, miała dla niego jakiś smakołyk: a to kawałek kołacza z serem, a to pajdę chleba ze smalcem lub kawałek kiełbasy. Ignacy najbardziej lubił, kiedy ciotka opowiadała legendy. Znała ich mnóstwo, ale chłopiec najchętniej słuchał opowiadań o skarbach ukrytych przez zbójników w Babiej Górze oraz o duchach broniących do nich dostępu. Marzył, że kiedyś odnajdzie skarb i będą mogli wraz z matką zapomnieć o niedostatku. Słysząc jego marzenia, obie kobiety śmiały się, powtarzając, że to tylko bajki wyssane z palca. Ignaś nie dał się jednak przekonać.

– Byli zbójnicy? – pytał. – Byli. Mieli złoto i inne kosztowności? Mieli, każdy o tym wie. Musieli je więc gdzieś przechowywać, tego był niemal pewien. Pytanie tylko gdzie?

Ciotka Helcia opowiadała, że skarby mogą być schowane w Słowikowej Studni, jaskini leżącej na północnych stokach Babiej Góry. Niestety, nawet jeśli tam były, to ktoś musiał je stamtąd zabrać – Ignacy przeszukał dokładnie cały teren wokół jaskini i oprócz kilku tajemniczych znaków, prawdopodobnie wyrytych ręką zbójnika, nic nie znalazł. Zbadał też dokładnie wszystkie dziury i zakamarki w Zbójnickim Wąwozie w Izdebczyskach i Zbójnicką Studnię nad Czarną Halą – wszystko na nic. Zrezygnowany przysiadł kiedyś pod przydrożną kapliczką i wtedy

przypomniał sobie opowieść ciotki Helci, w której zbójnicy mieli ukryć łupy pod kamiennym posągiem przedstawiającym świętego.

Od tej pory dokładnie oglądał każdą napotkaną po drodze figurę. Kłaniał się przed nią z szacunkiem, odmawiał pacierz, a następnie wyrywał rosnące wokół chwasty, omiatał pajęczyny i kurz, przy okazji sprawdzając, czy nie ma jakichś śladów po ukrytym skarbie. Ludzie przyzwyczaili się, że Ignacy dba o kapliczki, chwalili go, nierzadko pomagając w porządkach. Lata płynęły, skarbu nie odnalazł, ale polubił swoje zajęcie, więc nadal, po staremu, czyścił postumenty oraz usuwał igliwie i zgniłe liście z cokołów.

Pewnego roku zima była wyjątkowo długa i mroźna. Kończyły się zapasy jedzenia, a rodzinie zaczął w oczy zaglądać głód. Matka jak zwykle wysłała więc Ignacego z wyhaftowaną koszulą do Joniaka z Chyżnego, polecając, by w drodze powrotnej za otrzymane pieniądze kupił mąkę. Chłopiec wykonał powierzone zadanie, a gdy wracał do domu przystanął przy kamiennej figurze św. Jana Nepomucena. Długo nie mógł oderwać od niej oczu – była piękna. Nepomucen w czarnej sutannie stał pod blaszanym daszkiem, dzierżąc krzyż, poniżej figury rzeźbiarz umieścił dwie główki aniołków ze złotymi skrzydłami, jeszcze niżej na pomalowanym na niebiesko postumencie znajdowała się wyrzeźbiona imitacja monstrancji w złotej aureoli. Figura otoczona była niewysokim, kamiennym murkiem. Ignacy sprawdził, czy nie przecieka umieszczony nad nią dach i czy u stóp świętego, nie zalega śnieg. Już miał odchodzić, gdy nagle poślizgnął się na lodzie i ratując się przed upadkiem, złapał za kamienne główki aniołków. Z przerażeniem stwierdził, że pod wpływem nacisku aniołki się poruszyły. Gdy ochłonął, spróbował nacisnąć na nie jeszcze raz. Tak! Figurki były ruchome, wsunięte w znajdującą się za nimi wnękę. Trochę się bał, czy nic go nie ugryzie, ale ostrożnie przesunął rzeźby i włożył rękę do odsłoniętej czeluści. Na dnie płytkiego wgłębienia poczuł w dłoni jakiś nieokreślony przedmiot. Złapał go i wyciągnął wraz z tumanem kurzu i pajęczyn. Jego oczom ukazał się niewielki, niemal sparciały od starości skórzany mieszek. Z wielką ciekawością rozsupłał sznurki i znalazł w środku… pięć srebrnych monet.

Ignacy stał jak zamurowany. Znalazł skarb! Wytrwałość i pracowitość została nagrodzona i nie będą głodować! Szybko schował znalezisko za pazuchę, wsunął aniołki na swoje miejsce, odmówił dziękczynną modlitwę i w te pędy pobiegł do domu. Radości nie było końca – znaleziony skarb sprawił, że mieli zapewniony byt, kupili jakże potrzebnego w gospodarstwie konia, a także podreperowali dom, który chylił się ku upadkowi. Za ostatnią srebrną monetę Ignacy postanowił ufundować kapliczkę, by w ten sposób odwdzięczyć się świętym za ich hojność. Za namową ciotki Helci zamówił w słynnym warsztacie kamieniarskim figurę przedstawiającą Maryję stojącą na oplecionej przez węża kuli ziemskiej. U jej stóp artysta umieścił dwie uskrzydlone główki aniołków.

***

Opowiadanie powstało na podstawie opisu dwóch orawskich, istniejących w rzeczywistości, zabytkowych figur. Obydwie pochodzą z białopotockiego

warsztatu kamieniarskiego na Orawie (Słowacja), funkcjonującego od połowy XVIII wieku, do początków wieku XX. Figura św. Jana Nepomucena stoi nieopodal plebanii w Chyżnem, a została ufundowana w 1823 roku przez miejscowego chłopa Jana Joniaka. Figurę Marii Panny Niepokalanego Poczęcia, znajdującą się dzisiaj na cmentarzu w Zubrzycy Górnej, ufundował Ignacy Mszal w 1876 roku. Na każdej z nich widnieją ciekawe detale plastyczne w postaci uskrzydlonych główek aniołków.

Ignác a anjeli

Ignác bol jedináčik. Otec zahynul v lese pri rúbaní stromu. Matka riadila statok a z času na čas si tiež privyrábala ozdobným vyšívaním košieľ, korzetov a nohavíc, ktoré jej nosili ľudia z celej Oravy. Aj keď bola veľmi pracovitá a neobvykle šikovná výšivkárka, doma veľmi vyskakovať nemohli. Od otcovej smrti prežívali zo dňa na deň. Nehladovali síce, pretože zemiakov a mlieka bol dostatok, ale do sýtosti mali ďaleko. Matka sebe aj Ignácovi dávala na tanier iba toľko, aby im zásoby stačili na celý rok. Chlapec mame na statku usilovne pomáhal, pásol kravku a kozu na medzi, znášal raždie z lesa, strážil kurky. Keď dovŕšil 14 rokov, naučil sa kosou trávu kosiť a kosákom obilie žať, viazal snôpky, dokonca sa aj stavať stohy sena naučil tak, aby ich vietor nerozhádzal. Oravu poznal ako svoju dlaň, mnohokrát ju všetkými smermi prechodil, keď hotové kroje od mami ľuďom roznášal.

Najradšej mal zimu. Vtedy bolo práce omnoho menej, voľný čas mohol venovať načúvaniu rodinným rozprávaniam a susedským stretnutiam. Zimné večery trávil často u svojej tety Heleny zo Zawoje, z druhej strany Babej hory. Vraj bola v minulosti snúbenicou zbojníka. Sama to nikdy nepotvrdila (ale ani nevyvrátila), iba niekedy, keď v jej prítomnosti niekto spomenul zbojníkov, sa usmiala a jej tvár ožila. Teta Hela vedela všetko o všetkých. Dokázala vymenovať všetky rodinné vzťahy spätne do tretieho alebo štvrtého pokolenia, v Zawoji poznala každého a v neďalekej Skawici skoro každého, preto keď išla cez dedinu, všetci ju zdravili. Ignáca mala rada, vravela, že jej jeho meno pripomína chlapca, ktorého poznala v mladosti. Zakaždým, keď prišla, mala pre neho nejakú dobrotu. Niekedy trochu koláča s tvarohom, inokedy chlieb s masťou alebo kúsok klobásy. Ignác mal najradšej, keď tetka rozprávala legendy. Poznala ich množstvo, no on najradšej počúval o pokladoch, ktoré zbojníci skryli v Babej hore a o duchoch, ktoré strážia prístup k nim. Sníval o tom, že raz taký poklad nájde a spolu s mamkou zabudnú na chudobu. Keď o jeho snoch počuli obe ženy, smiali sa a opakovali mu, že sú to iba rozprávky, ktoré si niekto z prsta vycucol. Ignác sa však nenechal odradiť.

– Žili zbojníci? – pýtal sa. – Žili. Mali zlato a iné poklady? Mali a vie o tom každý. Museli ich predsa niekde schovávať, tým si bol skoro istý. Otázka je, kde?

Tetka Hela vravela, že poklady môžu byť ukryté v Slávikovej studni, jaskyni na severných svahoch Babej hory. Bohužiaľ, ak tam aj boli, istotne ich odtiaľ niekto vzal. Ignác všetko okolo jaskyne prehľadal a okrem niekoľkých tajomných znakov, ktoré vyryli pravdepodobne zbojníci, nenašiel nič. Dôkladne preskúmal aj všetky diery a kúty v Zbojníckej tiesňave v Izdebczyskách a Zbojnícku studňu nad Čiernou

hoľou – a nič. Raz si takto skleslo sadol ku kaplnke pri ceste a keď tam tak sedel, spomenul si na rozprávanie tetky Hely, v ktorom mali zbojníci skryť svoj lup pod kamennú sochu svätca.

Začal si dôsledne prezeral sochu, na ktorú pri ceste natrafil. Vždy sa s úctou uklonil, krátko sa pomodlil a následne vytrhal okolo rastúcu burinu, omietol pavučiny a prach a pri tej príležitosti aj skontroloval, či niekde nie sú stopy po ukrytom poklade. Ľudia si zvykli na Ignáca, ktorý sa stará o kaplnky, chválili ho za to a nezriedka mu aj pomohli. Roky sa míňali, poklad nenašiel, ale svoju prácu si obľúbil, a tak aj naďalej, ako kedysi, čistil podstavce a zo soklov odstraňoval ihličie a hnijúce lístie.

Jeden rok bola zima mimoriadne dlhá a chladná. Zásoby jedla sa míňali, v rodine sa udomácnil hlad. Mama, ako obvykle, poslala Ignáca s vyšívanou košeľou k Joniakovi z Chyžného a povedala mu, aby na spiatočnej ceste kúpil za utŕžené peniaze múku. Chlapec urobil, čo bolo treba, a keď sa vracal, pristavil sa pri kamennej soche sv. Jána Nepomuckého. Dlho od nej nemohol odtrhnúť zrak, taká bola krásna. Svätec v čiernej sutane stál pod plechovou strieškou, držal kríž a pod sochou umiestnil sochár dve hlávky anjelikov so zlatými krídlami a ešte nižšie, na modrom podstavci, sa nachádzala imitácia monštrancie v zlatej svätožiare. Ignác skontroloval, či strieška nezateká a či pri nohách svätca nie je sneh. Keď sa už chystal odísť, nečakane sa pošmykol na ľade a v snahe o záchranu pred pádom sa zachytil o kamenné hlávky anjelov. Zhrozený zistil, že pod tlakom sa anjeliky posunuli. Keď sa upokojil, pokúsil sa na ne zatlačiť ešte raz. Áno, sošky boli pohyblivé, zasunuté do výklenku, ktorý sa za nimi nachádzal. Trochu sa bál, či ho niečo nepohryzie, ale opatrne presunul sochy a do vzniknutej čeľuste vložil ruku. Na dne plytkého výklenku zacítil v ruke nejaký predmet. Chytil ho a vytiahol spolu s množstvom prachu a pavučín. Pred ním bol zrazu malý, vekom vytvrdnutý kožený mešec. S veľkým záujmom uvoľnil šnúrky a našiel v ňom… päť strieborných mincí.

Ignác ostal stáť ako prikovaný. Našiel poklad. Vytrvalosť a pracovitosť boli odmenené a zrazu nebudú hladovať. Rýchlo si nález strčil pod pazuchu, anjeliky postavil na svoje miesto, modlitbou sa poďakoval a ozlomkrky bežal domov. Radosti nebolo konca – vďaka nájdenému podkladu mohli začať normálne žiť, kúpili si koňa, ktorého tak veľmi potrebovali, opravili chátrajúci dom. Za poslednú striebornú mincu sa Ignác rozhodol zaplatiť výstavbu kaplnky a tak sa odvďačiť svätým za hojnosť. Na radu tetky Hely objednal vo vychýrenej kamenárskej dielni sochu znázorňujúcu Máriu stojacu na zemeguli opletenej hadom. A k jej nohám umelec umiestnil dve okrídlené hlávky anjelov.

***

Toto rozprávanie vzniklo na základe opisu dvoch oravských, skutočne existujúcich historických sôch. Obe pochádzajú z bielopotockej kamenárskej dielne na Orave (Slovensko), ktorá pôsobila od polovice 18. storočia do začiatkov 20. storočia. Socha sv. Jána Nepomuckého aj naďalej stojí neďaleko fary v Chyžnom a v roku 1823 ju zaplatil miestny sedliak Jan Joniak. Sochu Nepoškvrneného počatia Panny Márie, ktorá sa v súčasnosti nachádza na cintoríne v Zubrzycy Górnej, zaplatil Ignác Mszal v roku 1876. Na každej z nich sú viditeľné zaujímavé detaily v podobe okrídlených hláv anjelov.

Król węży

– Jaka dziś pogoda? – zapytała Ania, wyskakując z łóżka.
– Niestety, pada deszcz… – odpowiedział jej brat Marek, którego łóżko stało bliżej okna, więc z łatwością mógł wspiąć się na parapet i dostrzec mokre liście na drzewach.
To już trzeci deszczowy dzień wakacyjnej kolonii, którą dzieci spędzały w Zawoi. Wiadomo było, że znów będą musieli pozostać w pensjonacie i walczyć z nudą, grając w gry planszowe lub czytając książki. Gdyby chociaż mieli swoje telefony albo telewizor… niestety, na tej kolonii przedmioty te były niedozwolone nawet podczas deszczu. Przy śniadaniu pani wychowawczyni poinformowała grupę, że dzisiaj odwiedzi ich ktoś wyjątkowy: najsławniejszy człowiek w Zawoi – gawędziarz Maciej, który opowie im wiele ciekawych historii.

Rzeczywiście, tuż po śniadaniu w drzwiach świetlicy pojawił się dziwny mężczyzna – miał długą brodę i wąsy, ubrany był w serdak i góralskie portki, a na głowie nosił czarny kapelusz ozdobiony czerwonym sznurkiem.
– Niezły oryginał – skomentowała Ania. – ciekawe, co nam opowie – dopowiedziała bez przekonania.
– Zobaczymy… i tak nie mamy nic innego do roboty – odparł zrezygnowany Marek i usiadł na dywanie obok koleżanki.
Maciej powoli szedł przez salę. Utykał na prawą nogę, więc dla lepszej równowagi podpierał się ciupagą. Spojrzał na dzieci, uśmiechnął się, przywitał ze wszystkimi i zajął fotel ustawiony obok kominka.
– Pada deszcz – zaczął. – Nie ma co robić.
Dzieci smutno pokiwały głowami.
– Nic dziwnego, w końcu Babia Góra nazywana jest Matką Niepogód lub Kapryśnicą właśnie z powodu zmiennej pogody. Pamiętam, że pewnego letniego dnia, gdy byłem w waszym wieku, strasznie padało, a ja, podobnie jak wy dzisiaj, bardzo się nudziłem. Byłem w chałupie tylko z dziadkiem, który poprosił, żebym usiadł obok niego przy piecu, a wtedy on opowiedział mi historię swojego dzieciństwa.

Dziadek urodził się w Zawoi, w biednej rodzinie Trybałów. Jako kilkunastoletni chłopak został oddany na służbę do bogatego gospodarza. Musiał paść krowy, pracować w polu oraz pomagać gospodyni w obejściu. Któregoś dnia do izby wszedł podekscytowany gazda – w ręce trzymał upolowanego przed kwadransem węża, mieniącego się wszystkimi kolorami tęczy, na którego głowie wyraźnie połyskiwała złota korona.
– Korona?! – nie wytrzymał Marek. – A skąd wąż ją miał?
– Cicho, nie przeszkadzaj – upomniała go wychowawczyni.
– To dobre pytanie – odrzekł Maciej.
Gad miał na głowie koronę, ponieważ był królem wężów. Gospodarz zobaczył go na polanie pod lasem, gdy ten, wraz z innymi wężami, grzał się w słońcu. Najwyraźniej znał starą historie, mówiącą o tym, że ten kto spożyje wywar z mięsa króla węży, szybko się wzbogaci. Chciwy na złoto mężczyzna chwycił kij, uderzył

w kłębowisko węży, idealnie trafiając zwierzę i zabijając je na miejscu. Nieżywego złapał za ogon i rzucił się do ucieczki ze strachu przed pozostałymi gadami. Gdy dotarł do domu, w izbie był tylko mój dziadek. Gazda kazał mu natychmiast przynieść wody ze studni i rozpalić w piecu. Sam w tym czasie włożył zwierzę do garnka i zabrał się za przyrządzanie wężowej zupy. Wszystko jednak szło na opak: ogień w piecu przygasał, woda nie chciała się zagotować, a do tego zaczynało zmierzchać. Zniecierpliwiony kazał chłopcu (czyli mojemu dziadkowi) pilnować strawy, a sam poszedł oporządzić konie. Przed wyjściem surowym głosem zakazał mu jeść wężowego rosołu. Dziadek mój zadanie wykonał – dokładał drwa do pieca, mieszał zupę, ale z głodu coraz bardziej burczało mu w brzuchu. W pewnym momencie zapomniał o zakazie, nabrał trochę rosołu na koniec łyżki i spróbował. W tym momencie stało się coś nadzwyczajnego. Po skosztowaniu zupy posiadł magiczną, cudowną umiejętność dostrzegania miejsc, v których znajdowały się ukryte w górach skarby, oraz rozumienia mowy węży. Poczuł, jak jakaś nieprzeparta siła każe mu wyjść z izby i mimo ciemności, udał się w stronę Babiej Góry. Gdy pokonywał pierwsze wzniesienie, na przykrytym liśćmi starym, zmurszałym pieńku sosny, dostrzegł węża, a ten wyjaśnił chłopcu, że chciwy gazda zabił króla węży, by zdobyć skarby ukryte pod Diablakiem, szczytem Babiej Góry. Powiedział również, że zaklęcie działa tylko wtedy, gdy odnalezione kosztowności będą służyć najbiedniejszym. Chłopiec udał się w dalszą drogę i dzięki nabytej niezwykłej mocy odnalazł zakopany w dziurze pod szczytem kociołek ze złotymi monetami. Napchał kieszenie pieniędzmi, ale nie zdołał ich wszystkich zabrać, więc na powrót ukrył garnek i przykrył go leśną ściółką. Pamiętając o wyjaśnieniach napotkanego wcześniej węża, złote monety w pierwszej kolejności dał samotnej, żyjącej w niedostatku kobiecie z pobliskiego przysiółka. Kolejną część pieniędzy zaniósł do Piotra i Pawła, bliźniaków osieroconych przez matkę, których ciężko pracujący przy wyrębie lasu ojciec ledwo wiązał koniec z końcem. Sowicie obdarował pogorzelców, którym od pioruna spaliła się chałupa, a przy okazji wspomógł powołaną niedawno w Zawoi straż ogniową.

Po powrocie ze stajni gazda znalazł brudną łyżkę obok garnka z wężową zupą – zorientował się, że chłopiec złamał zakaz i posiadł upragnioną przez niego cudowną moc odnajdywania skarbów. Wściekły szukał go po całej wsi. Odnalazł go na Wilcznej, przysiółku Zawoi, gdy ten przekazywał należność za konia kupionego za znalezione w górach pieniądze. Ów koń przeznaczony był dla sąsiada, który z biedy sam zaprzęgał się do pługa.

– Tu jesteś, ancymonie, huncwocie, urwipołciu jeden! Zjadłeś rosół!? Wiesz, gdzie są skarby? Natychmiast mnie do nich prowadź, nicponiu!

I złapał mojego dziadka za kołnierz tak mocno, że o uwolnieniu nie mogło być mowy. Nie mając innego wyjścia, chłopiec ruszył w góry. Szybko dotarli do Zbójnickiego Wąwozu. Tam, wśród skalnych rozpadlin znajdował się kolejny kociołek pełen srebrnych monet. Gospodarz jednym ruchem ręki zgarnął wszystkie monety do worka i popychając przed sobą chłopca, ruszył w drogę powrotną do wsi.

Po dotarciu do domu zamknął chłopca w komórce, a sam poszedł do izby przeliczyć pieniądze. Gdy otworzył worek, okazało się, że zamiast srebrnych monet znajdują się w nim drobne otoczaki.

– Jak to!!! – ryknął. – Znowu mnie oszukał, drań jeden!
Nic jednak złością nie wskórał. Mimo złorzeczeń i utyskiwania, skarb przepadł. Gospodarz nie wiedział, że moc króla węży działała tylko wtedy, gdy służyła innym. Jego zachłanność spowodowała, że monety zamieniły się w kamienie. Jednocześnie swą moc straciły wszystkie czary, tym samym i chłopiec utracił umiejętność odnajdywania skarbów – nieprzydatny gospodarzowi został więc wyrzucony za drzwi. Na szczęście miał dokąd wrócić. W jego rodzinnym domu panował dostatek, o który zatroszczyli się wdzięczni za pomoc sąsiedzi .

Maciej zakończył opowieść. Dzieci chwilę trwały w milczeniu, po czym rozległy się gromkie brawa. Marcin i Ania byli zachwyceni opowieścią. Pierwszy raz słyszeli o wężowym królu i o skarbach ukrytych w górach.

Pogoda zaczęła się poprawiać i zza chmur wyjrzało słońce, a dzieci wraz z opiekunami wyruszyli wreszcie na górskie ścieżki. Może napotkają po drodze tajemniczego tęczowego węża, a może uda im się odnaleźć ukryte w lesie skarby…

***

W tradycyjnej kulturze ludowej wąż miał niebagatelne znaczenie symboliczne i magiczne. Z jednej strony utożsamiano go z diabłem, czyhającym na ludzkie życie, a z drugiej przypisywano mu tajemną moc wzmagania miłości, płodności i wegetacji. Motyw *gadziego króla*, węża w złotej koronie mieniącj się wszystkimi kolorami tęczy, znany był w folklorze słownym całych Karpat. Występował zazwyczaj jako strażnik pilnujący podziemnych skarbów, a opowiadana legenda była zazwyczaj wzbogacona o wątek ukaranej chciwości.

Hadí kráľ

– Ako je vonku? – opýtala sa Anka vyskakujúc z postele.
– Bohužiaľ prší… – odpovedal jej brat Marek, ktorého posteľ stála bližšie k oknu, preto sa mohol jednoducho natiahnuť na parapet a vidieť mokré listy na stromoch.
Je to už tretí daždivý deň v prázdninovom tábore, ktorý deti trávili v Zawoji. Bolo jasné, že musia znovu ostať v penzióne a spoločenskými hrami alebo čítaním kníh bojovať s nudou. Keby mali aspoň svoje telefóny alebo televízor. Bohužiaľ, v tábore boli tieto veci zakázané, dokonca aj za dažďa. Pri raňajkách vychovávateľka skupine oznámila, že ich dnes navštívi niekto výnimočný, najslávnejší človek v Zawoji, rozprávač Matej, ktorý im porozpráva mnoho zaujímavých príbehov.

A naozaj, hneď po raňajkách sa vo dverách spoločenskej miestnosti objavil zvláštny muž – mal dlhú bradu a fúzy, oblečený bol v goralskom kabátci a nohaviciach, na hlave mal čierny klobúk zdobený červenou šnúrkou.
– Celkom zaujímavý pánko – povedala Anka. – Som zvedavá, o čom bude rozprávať – dopovedala bez záujmu.
– Uvidíme… aj tak nemáme nič iné na práci – odvetil rezignovane Marek a sadol si na koberec vedľa kamarátky.

Matej šiel pomaly cez herňu. Kríval na pravú nohu, preto sa pre lepšiu rovnováhu podopieral bakuľou. Pozrel na deti, usmial sa, so všetkými sa pozdravil a sadol si do kresla vedľa kachľovej pece.
– Prší – začal. – Niet čo robiť.
Deti smutno pritakali hlavami.
– Nič zvláštne, koniec-koncov Babia hora sa nazýva aj Matka nečasu alebo Vrtošnica práve pre premenlivé počasie. Pamätám si, že v jeden letný deň – bol som asi vo vašom veku – veľmi pršalo a ja som sa, podobne ako vy, veľmi nudil. Bol som v chalupe iba s dedom, ktorý ma zavolal k sebe ku peci a začal mi rozprávať o svojom detstve.

Dedo sa narodil v Zawoji, v chudobnej rodine Trybalovcov. Ako dvanásťročný išiel do služby k bohatému gazdovi. Musel pásť kravy, pracovať na poli a pomáhať gazdinej. Jedného dňa vošiel do izby vzrušený gazda a v rukách držal hada, ktorého pred chvíľou chytil. Hadia koža hýrila dúhovými farbami a na hlave mu svietila zlatá koruna.
– Koruna?! – nevydržal Marek – A odkiaľ ju had vzal?
– Ticho, nevyrušuj – upozornila ho vychovávateľka.
– To je dobrá otázka – povedal Marek.
Had mal na hlave korunu, pretože to bol hadí kráľ. Gazda ho zbadal na poľane pod lesom, keď sa s inými hadmi vyhrieval na slnku. Musel poznať starý príbeh o tom, že kto zje vývar z mäsa hadieho kráľa, rýchlo zbohatne. Po zlate bažiaci muž vzal palicu, udrel do hadieho klbka, presne trafil hada a namieste ho zabil. Mŕtveho ho chytil za chvost a zo strachu pred ostatnými hadmi vzal nohy na plecia. Keď dobehol domov, v izbe bol iba môj dedo. Gazda mu prikázal okamžite nabrať vodu zo studne a zapáliť v peci. Sám medzitým vložil hada do hrnca a chystal sa variť hadiu polievku. Všetko však šlo naopak: oheň v peci hasol, voda nechcela vrieť a vonku sa začalo zmrákať. Netrpezlivý gazda kázal chlapcovi, teda môjmu dedovi, strážiť poživeň a šiel obriadiť kone. Pred odchodom prísnym hlasom zakázal jesť hadiu polievku. Môj dedo robil to, čo mal – prikladal do pece, miešal polievku, no od hladu mu hudci v bruchu vyhrávali stále viac. V jednej chvíli zabudol na zákaz, nabral trochu polievky na koniec lyžice a ochutnal. A vtom sa stalo niečo zvláštne. Po ochutnaní zrazu získal magickú schopnosť vidieť miesta, na ktorých boli skryté poklady v horách a rozumieť hadej reči. Cítil, ako mu akási nepremožiteľná sila káže vyjsť z izby a proti noci sa vydať smerom k Babej hore. Keď prechádzal cez prvý kopec, na starom spráchnivenom sosnovom pni zakrytom lístím zbadal hada. Ten chlapcovi vysvetlil, že gazda zabil kráľa hadov, aby získal poklady ukryté pod Diablakom, vrchom Babej hory. Povedal mu tiež, že čary majú moc iba vtedy, ak nájdené cennosti poslúžia najchudobnejším. Chlapec pokračoval v ceste a vďaka získanej neobyčajnej moci našiel v diere pod vrchom zakopaný hrniec so zlatými mincami. Mince si vopchal do vreciek, no keďže sa mu tam všetky nezmestili, hrniec opäť schoval a zakryl ho lístím. Pamätal na slová hada, ktorého stretol a zlaté mince dal najprv jednej osamelej chudobnej žene z blízkych lazov. Ďalšie peniaze odniesol Petrovi a Pavlovi, osirelým dvojčatám bez matky. Ich otec, ktorý ťažko pracoval v hore

pri výruboch, žil s nimi zo dňa na deň. Bohato obdaril nešťastníkov, ktorým od blesku zhorel dom a podporil aj novozaložený zbor hasičov v Zawoji.

Potom ako sa gazda vrátil zo stajne a našiel vedľa hrnca s haďou polievkou špinavú lyžicu, pochopil, že chlapec porušil zákaz a má zázračnú schopnosť nájsť poklady, po ktorej gazda tak veľmi túžil. Nahnevaný ho hľadal po celej dedine. Našiel ho vo Wilcznej, čo je časť Zawoje, práve keď chlapec platil za koňa, ktorého kúpil za nájdené peniaze. Ten kôň bol pre suseda, ktorý bol taký chudobný, že do pluhu zapriahal samého seba.

– Tu si, anciáša, ničomník, paskuda! Zjedol si polievku!? Vieš, kde sú poklady? Okamžite ma tam zaveď, ty lotor!

A chytil môjho dedka za golier tak silno, že sa nemohol ani pohnúť. Inej cesty nebolo, preto sa chlapec vybral do hôr. Rýchlo sa dostali k Zbojníckemu priesmyku. Tam sa medzi skalnými rozvalinami nachádzala ďalšia truhlica so strieborniakmi. Gazda jedným šmahom ruky stiahol všetky mince do vreca a potom už chlapca len postrkoval pred sebou na spiatočnej ceste do dediny.

Doma zamkol chlapca do komory a sám išiel do izby prerátať peniaze. Keď otvoril vrece, ukázalo sa, že sú v ňom namiesto strieborných mincí drobné okruhliaky.

– Ako to!!! – skríkol. – Zas ma oklamal, darebák!

Hnevom však nič nedosiahol. Napriek preklínaniu a bedákaniu poklad zmizol. Gazda nevedel, že magická moc hadieho kráľa pôsobila len vtedy, keď slúžila iným. Kvôli jeho chamtivosti sa mince premenili na kamene. Zároveň svoju moc stratili všetky čary a chlapec už nevedel nájsť poklady. Pre gazdu bol zbytočný, tak ho vyhodil. Našťastie sa mal kam vrátiť. V jeho rodnom dome panovala hojnosť, o ktorú sa postarali vďační susedia.

Matej svoje rozprávanie dokončil. Deti chvíľu mlčali a potom zaznel búrlivý potlesk. Marek a Anička boli z rozprávania nadšení. Prvýkrát počuli o haďom kráľovi a pokladoch ukrytých v horách.

Medzitým sa vyčasilo, spoza mrakov vykuklo slnko a deti sa spolu s vychovávateľmi konečne vydali na horské chodníky. Možno tam na ceste stretnú tajomného dúhového hada a možno sa im podarí nájsť skryté poklady…

***

V tradičnej ľudovej kultúre mal had symbolický a magický význam. Na jednej strane sa stotožňoval s diablom číhajúcim na ľudský život, na druhej strane mu bola pripisovaná tajomná moc lásky, plodnosti a hojnosti. Motív *hadieho kráľa*, hada so zlatou korunou, ktorý žiari dúhovými farbami, poznala ľudová slovesnosť v celých Karpatoch. Obvykle vystupoval ako strážca podzemných pokladov a prerozprávaná legenda bola často doplnená o motív potrestanej chamtivosti.

– Ratunku, ratunku, pomocy! – głos przestraszonego chłopca zlewał się ze skomleniem psa.
– Ratunku! Czy naprawdę nikt mnie nie słyszy!? – chłopiec powoli tracił ochrypły od nawoływania głos, jednocześnie nikła też nadzieja na ratunek.
Beznadziejnie wołającym o pomoc był 13-letni Sebastian, który kilka godzin wcześniej, włócząc się z psem po babiogórskim lesie, dotarł do nieznanego mu, tajemniczego miejsca. U podnóża Sokolicy, położonej na wschód od wierzchołka masywu Babiej Góry, odkrył niewielki staw pokryty starymi i zmurszałymi pniami drzew. Kłody dryfowały na powierzchni wody niczym dywan, szczelnie ją przesłaniając.
– Jakie dziwne jeziorko – powiedział sam do siebie, ale nim zdążył głębiej się nad tym zastanowić, jego wierny towarzysz, pies Łatek, wskoczył na najbliższą kłodę, a z niej na kolejną i jeszcze jedną. W pewnym momencie pies poślizgnął się na glonach porastających pnie i wpadł do wody. Poruszone przez psa ciężkie kawały drewna natychmiast szczelnie się nad nim zamknęły. Sebastian, widząc, co się stało, ruszył na pomoc psiemu przyjacielowi. Skakał z kłody na kłodę, aż dotarł do miejsca, w którym zniknął Łatek. Ostrożnie ukląkł na nasączonym wodą śliskim drewnie i rękoma zaczął przesuwać pływające przed nim belki. Po chwili pies wypłynął na powierzchnię, najwyraźniej cały i zdrowy. Próbował wdrapać się na kłodę, na której stał chłopiec. Jednak nagłe szarpniecie spowodowało, że Sebastian stracił równowagę i wpadł do wody, a pies…??? Dalej w tej wodzie siedzi??? Belki drewna otoczyły go z każdej strony, a próba wydostania się z matni kończyła się fiaskiem. Oślizłe od glonów, zmurszałe i ciężkie od wody kłody uniemożliwiały ruch. Gdy Sebastian chciał którąś z nich złapać, obracały się wokół własnej osi lub wyślizgiwały z rąk. Przesuwane stawiały opór, a ponadto dryfując, obijały się o siebie, ściskając i boleśnie uderzając chłopca.

Sebastian objął rękoma wystającą ponad wodę, narosłą na grubym drzewie, dużą hubę i resztkami sił starał się utrzymać na powierzchni. Chciało mu się płakać, a strach zaglądał mu w oczy, zwłaszcza że pod nogami nie wyczuwał dna. Do tego wszystkiego odkrył, że na kłodach coś się poruszało. Tuż obok jego ręki biegały jakieś niewielkie stworzonka, których nie potrafił nazwać. Zauważył też pająki, żaby oraz małe jaszczurki, zwinnie poruszające się po powierzchni drewna. Po chwili zrobiło mu się zimno, a zapadający zmrok nie wróżył niczego dobrego.

Sebastian szybko zrozumiał, że sam nie jest w stanie wydostać się z tej pułapki. Jedyne co mógł zrobić, to wołać o pomoc, z nadzieją, że ktoś go usłyszy. Był w opłakanym stanie – przemoczony, zmarznięty, w dodatku w towarzystwie tych obłych robaków… ale na szczęście nie był sam. Jego pies, dzielnie przebierając łapami, zdołał utrzymać się na powierzchni wody. Po chwili chłopiec postanowił, że spróbuje pomóc Łatkowi wyjść z wody na belkę. Może gdyby jemu udało się wydostać na brzeg, to sprowadziłby z Zawoi pomoc.

Plan okazał się skuteczny. Łatek, pewnie stanąwszy na grubej i długiej belce, ostrożnie zaczął pokonywać kolejne kłody i tym sposobem dość szybko zbliżał się

do brzegu. Już tylko dwa susy dzieliły go od lądu. Wykonał ostatni, długi i odważny skok, i stanął na brzegu. Otrzepał się, szczeknął dwa razy i, jakby rozumiejąc intencje swego pana, zniknął w szuwarach okalających staw.

Ciszę, która nastała po jego odejściu, przerywał tylko szum wiatru w konarach drzew i rechot żab w stawie. A co, jeśli pies nie wróci? Co będzie, kiedy rodzice nie domyślą się, że szczekaniem prosi o pomoc? Smętne myśli zaczęły krążyć mu po głowie. Postanowił jeszcze raz spróbować wydostać się o własnych siłach. Złapał oburącz za najbliższą kłodę, starał się na nią wdrapać, ale kłoda obróciła się razem z nim, a ociężały od mokrego ubrania Sebastian znów znalazł się pod wodą. Nic z tego – pomyślał. – Muszę czekać i liczyć na to, że Łatek się spisze.

Nie wiadomo, ile czasu Sebastian spędził w wodzie. Słońce schowało się już dawno za horyzontem, spowijając okolicę mrokiem. Czekał w odrętwieniu, odganiał tylko uporczywe komary i muchy. Co za dziwny staw. Skąd te belki? Co to za miejsce? – zastanawiał się, by nie myśleć o otaczających go robakach, zimnej wodzie i nieznanej głębokości stawu.

Wtem jego rozmyślania przerwał jakiś odgłos…. Co to może być? Czy to Łatek?... Tak…! Sebastian rozpoznał szczekanie psa oraz jakieś inne głosy, to pewnie rodzice idą po niego! Pies zdołał sprowadzić pomoc, będzie uratowany! Zaczął ponownie nawoływać, emocje dodawały mu sił, wiedział, że zaraz nadejdzie ratunek.

Po chwili szuwary zatrząsły się i wyskoczył z nich Łatek, a zaraz za nim pojawił się ojciec Sebastiana wraz z leśniczym. Latarkami oświetlili staw.

– Nic ci nie jest? – zapytał ojciec. – Zaraz cię wyciągniemy.

Wspólnie z leśniczym zrobili z przyniesionej ze sobą liny lasso i rzucili je Sebastianowi, nakazując, by obwiązał się w pasie. Następnie za pomocą długich żerdzi odsuwali poszczególne kłody, torując chłopcu drogę. Holowany przez ojca, szybko pokonał dystans dzielący go od brzegu. Gdy był już bezpieczny, padł w objęcia taty i resztkami sił opowiedział o całym wydarzeniu.

– Miałeś dużo szczęścia, że nic ci się nie stało – powiedział leśniczy. – Ten staw, zwany Morskim Okiem, jest bardzo głęboki, być może ma nawet podziemne połączenie z morzem i dlatego przed I wojną światową zakryto go kłodami drewna.

Niefortunna przygoda stała się przestrogą dla Sebastiana, ale jednocześnie miała wpływ na dalsze jego życie. Sebastian nie mógł o niej zapomnieć, postanowił więc w przyszłości sprawdzić, co rzeczywiście kryje się pod powierzchnią wody. Nurtująca go ciekawość spowodowała, że nad staw wrócił kilka lat później. Jako świeżo upieczony absolwent geologii odpowiednio się tym razem przygotował – przyniósł ze sobą specjalistyczny sprzęt, a przeprowadzone przez niego badania wykazały, że staw jest starym szybem górniczym, głębokim na około dwa metry, który został zalany wodą deszczową. Na dnie Sebastian znalazł starą, drewnianą łopatę – jedyny ślad po pracujących tu w przeszłości górnikach. Domyślił się, że zalana sztolnia jest pamiątką po czasach, kiedy zbocza Babiej Góry penetrowano w poszukiwaniu rud żelaza i innych kruszców.

***

Sebastian i jego pies Łatek to stworzone przez autorkę fikcyjne postaci, ale stawek, zwany „Morskim Okiem" lub stawkiem „Pod Kłodą", istnieje naprawdę. Zlokalizowany jest po północnej stronie masywu Babiej Góry, u podnóża najdalej wysuniętego wierzchołka tego masywu – Sokolicy. Jego głębokość owiana była przez lata wieloma legendami, a staw uważano za wyjątkowo niebezpieczny. To przekonanie spowodowało, że na początku XX wieku jego powierzchnię zakryto kłodami drewna. W 1973 roku staw został zbadany przez naukowców. Wówczas okazało się, że w rzeczywistości jest to sztucznie wykopany, zalany wodą szyb górniczy z połowy XIX wieku. Zmierzona wówczas głębokość wskazywała 2,15 m.

Tajomstvo „Morského oka" na Babej hore

– Zachráňte, zachráňte, pomóóc! – hlas prestrašeného chlapca sa zlieval s kňučaním psa.
– Pomóóc! Naozaj ma nikto nepočuje!? – chlapec pomaly strácal hlas zachrípnutý od volania, nádej na záchranu sa pomaly vytrácala tiež.
Chlapec beznádejne volajúci o pomoc bol 13-ročný Šebastián, ktorý len pred pár hodinami, na prechádzke so psom v lese na Babej hore, vstúpil na miesto, ktoré dovtedy nepoznal. Na úpätí Sokolice, na východ od vrcholu masívu Babej hory, objavil malé jazierko pokryté starými a zbúrľavenými pňami stromov. Brvná sa vznášali na vodnej hladine ako koberec a tesne ju zakrývali.
– Aké zvláštne jazierko – povedal si v duchu, no kým sa stihol hlbšie zamyslieť, jeho spoločník, psík Letko, vyskočil na najbližšie drevo, z neho na ďalšie a potom na ďalšie. Vtom sa pošmykol na riasach, ktoré obrastali pne a spadol do vody. Ťažké kusy dreva, ktoré dal pes do pohybu, sa nad ním okamžite zatvorili. Keď Šebastián videl, čo sa stalo, okamžite priskočil svojmu psiemu kamarátovi na pomoc. Skákal z pňa na peň, kým sa nedostal na miesto, kde zmizol Letko. Opatrne si kľakol na klzké, vodou nasiaknuté drevo a rukami začal presúvať kusy dreva, ktoré pred ním plávali. Po chvíli psík vyplával na hladinu, celý a zdravý. Pokúšal sa vydriapať na kmeň, na ktorom stál chlapec. Náhle trhnutie však spôsobilo, že Šebastián stratil rovnováhu a tiež spadol do vody. Pne ho obklopovali z každej strany a všetky pokusy dostať sa z pasce skončili neúspešne. Riasami pokryté, vodou nasiaknuté ťažké kusy dreva bránili v pohybe. Keď chcel Šebastián niektoré z nich chytiť, otáčali sa okolo vlastnej osi alebo sa mu vyšmykli z rúk. Pri presúvaní kládli odpor a unášané do seba tĺkli, stláčali chlapca a bolestivo ho udierali.

Šebastián objal rukami veľkú hubu, ktorá vyčnievala nad vodu a rástla na hrubom kmeni a zvyškami síl sa snažil udržať nad hladinou. Chcelo sa mu plakať, strach sa mu zračil z očí, najmä, keď nohami necítil dno. A k tomu všetkému zbadal, že sa po kmeňoch niečo pohybovalo. Popri jeho ruke behali nejaké malé tvory, ktoré nevedel pomenovať. Všimol si tiež pavúky, žaby a malé jašterice rýchlo sa pohybujúce po kmeni. Po chvíli pocítil chlad a ani postupné stmievanie neveštilo nič dobré.

Šebastián rýchlo pochopil, že sám nie je schopný z tejto pasce uniknúť. Jediné, čo mohol urobiť, bolo volať o pomoc s vierou, že ho niekto začuje. Bol v žalostnom stave – premočený, podchladený, a k tomu tie všetky chrobáky… no našťastie nebol sám. Jeho pes, usilovne plávajúci, sa dokázal udržať na hladine. Po chvíli sa chlapec rozhodol, že sa pokúsi pomôcť Letkovi z vody na kmeň. Ak by sa jemu podarilo dostať na breh, možno by priviedol zo Zawoje pomoc.

Plán to bol dobrý. Letko, pevne stojaci na hrubom a dlhom brvne, začal pomaličky prechádzať cez jednotlivé kmene a tak sa pomerne rýchlo približoval k brehu. Od pevniny ho delili dva skoky. Urobil posledný, dlhý a odvážny skok a stál na brehu. Otrepal sa, dvakrát zaštekal a akoby rozumel zámeru svojho pána, zmizol v húštine obklopujúcej jazierko.

Ticho, ktoré nastalo po jeho odchode, prerušoval len šum vetra v konároch stromov a žaby v jazierku. A čo ak sa pes nevráti? Čo s ním bude, ak rodičia nepochopia, že pes ich štekaním žiada o pomoc? Smutné myšlienky začali chlapcovi prichádzať na myseľ. Rozhodol sa, že ešte raz skúsi dostať z tejto šlamastiky vlastnými silami. Oboma rukami chytil najbližšie brvno, snažil sa naň vydriapať, ale to sa otočilo spolu s ním a kvôli mokrým veciam sa opäť o niečo ťažší Šebastián ocitol pod vodou. Nič z toho, pomyslel si, musím čakať a veriť, že sa to podarí Letkovi.

Nie je jasné, koľko času strávil Šebastián vo vode. Slnko sa už dávno skrylo za horizont a krajinu zahalili mraky. Meravo čakal, odháňal iba neodbytné komáre a muchy. Čo je to za zvláštne jazero. Odkiaľ sa tu vzali tieto kmene? Čo je to za miesto? – zamýšľal sa, aby nemusel myslieť na všetky tie chrobáky, čo ho obklopovali, na studenú vodu a neznámu hĺbku jazera.

Zrazu jeho rozmýšľanie prerušil nejaký zvuk… Čo to môže byť? Azda Letko?... Áno…! Šebastián spoznal psí štekot a začul aj ďalšie hlasy, to istotne budú rodičia, ktorí preň idú! Pes stihol priviesť pomoc, bude zachránený! Opäť začal kričať, emócie mu dodávali sily, vedel, že pomoc príde o chvíľu.

Po chvíli sa zatriasla vysoká tráva, vyskočil z nej Letko a hneď za ním Šebastiánov otec aj s horárom. Baterkami osvetlili jazero.

– Nie je ti nič? – opýtal sa otec. – Hneď ťa vytiahneme.

Spolu s horárom urobili na konci lana, ktoré so sebou priniesli, slučku, hodili ho Šebastiánovi a ten sa ním obviazal v páse. Potom pomocou dlhých žrdí odsúvali jednotlivé plávajúce kmene a robili tak chlapcovi cestu. Otec ho ťahal tak, že vzdialenosť k brehu zvládol prekonať rýchlo. Keď bol v bezpečí, padol otcovi do náručia a zvyškami síl mu vyrozprával, ako sa to celé stalo.

– Mal si veľmi veľa šťastia, že sa ti nič nestalo – povedal horár. Toto jazierko, zvané aj Morské oko, je veľmi hlboké, možno je aj v podzemí prepojené s morom, preto ho pred 1. sv. vojnou zakryli týmito brvnami.

Nešťastná príhoda sa pre Šebastiána stala varovaním a zároveň ovplyvnila jeho ďalší život. Šebastián na ňu nemohol zabudnúť, preto sa rozhodol, že raz zistí, čo sa pod hladinou naozaj ukrýva. Vďaka svojmu neslabnúcemu záujmu sa na toto miesto vrátil o niekoľko rokov neskôr. Ako čerstvý absolvent geológie sa tentokrát svedomito pripravil – priniesol si so sebou špeciálne vybavenie a jeho výskum ukázal, že jazierko bolo v minulosti banskou štôlňou, je hlboké približne dva metre

a vytvorila ho dažďová voda. Šebastián našiel na dne starú drevenú lopatu, jedinú stopu po baníkoch, ktorí tu v minulosti pracovali. Uvedomil si, že zaliata štôlňa e pamiatka na časy, keď sa úbočia Babej hory prekopávali kvôli železnej rude a iným nerastom.

***

Šebastiána a jeho psa Letka si autorka vymyslela, ale jazierko zvané „Morské oko" alebo jazierko „Pod kladou", existuje aj v skutočnosti. Nachádza sa na severnej strane masívu Babej hory, na úpätí najvysunutejšieho vrchu tohto masívu – Sokolice. Jeho hĺbka bola opradená mnohými legendami už dávno a jazierko ľudia považovali za mimoriadne nebezpečné. Toto presvedčenie zapríčinilo, že jeho hladinu na začiatku 20. storočia nechali prekryť drevenými brvnami. V roku 1973 jazierko preskúmali odborníci. Ukázalo sa, že v skutočnosti ide o umelo vykopanú a neskôr vodou zaliatu banskú štôlňu z polovice 19. storočia. Jazierko malo vtedy hĺbku 2,15 m.

– Wszystko gotowe! Możemy ruszać w rejs!
Piotrek tylko czekał na to hasło. Uwielbiał pływać z dziadkiem motorówką o śmiesznej nazwie „Foch". Zapach wody i lin cumowniczych, owiewający łódkę wiatr oraz pokrzykiwania latających nad głowami mew – były dla niego oznakami wolności i przygody. Nie inaczej miało być i tym razem. Dziadek zapiął kapok, nasunął na czoło marynarską czapkę z wyhaftowaną złotą kotwicą i odbił od brzegu. Było pięknie. Zieleń wody łączyła się z błękitem nieba, a pomiędzy nimi, niczym Fudżijama, wznosił się biały stożek ośnieżonej jeszcze o tej porze roku Babiej Góry. Mknęli przed siebie. Dziób łódki rozbijał taflę wody, pozostawiając w tyle pas białej piany. Piotrek obserwował ryby umykające przed łodzią oraz śmiałków próbujących ślizgać się na nartach wodnych, a w oddali, przy brzegu, dostrzegał brodzące po wodzie bociany. Po chwili jednak bezchmurne dotąd niebo pociemniało. Znad Babiej Góry zaczęły napływać ciężkie, ołowiane chmury zwiastujące ulewę. Widząc nadchodzącą nawałnicę, dziadek skierował łódkę w stronę najbliższego brzegu.
– Schronimy się na tej wyspie, są tam zabudowania – powiedział, wskazując ręką niewielki skrawek lądu porośnięty drzewami i krzewami. Podpłynęli bliżej, szukając wśród szuwarów dogodnego miejsca, by zejść na ląd. Do brzegu dobili w ostatniej chwili. Panował półmrok, a ponadto zerwał się mocny wiatr, który niebezpiecznie kołysał łodzią. Po zacumowaniu ruszyli w głąb wyspy. Przedzierając się przez gęste krzewy, dotarli na śródleśną polanę, pokrytą miejscami ciemnozielonym bluszczem. Pośród zieleni sterczały kamienne posągi przypominające te, które można zobaczyć na starych cmentarzach.
– Gdzie my jesteśmy? – zapytał zaskoczony Piotrek. Chciał jeszcze coś dodać, ale pozostałe słowa zagłuszył gwałtowny podmuch wiatru. Zerwała się ulewa i obaj znaleźli schronienie pod parasolem utworzonym przez korony okalających polanę drzew.
– Pójdę sprawdzić, czy nie zerwało nam cumy – wykrzyknął dziadek. – Poczekaj tu chwilę – dodał i szybkim krokiem ruszył w stronę brzegu.
Piotrek został sam. Trochę się bał, ale pomyślał, że musi być dzielny, jak przystało na marynarza. Kiedy ulewa na chwilę nieco zelżała, chłopiec podszedł do najbliżej stojącego posągu. Widniała na nim płaskorzeźba przedstawiająca kobietę w czerwonej szacie, trzymającą ludzką czaszkę w ręce. Nad głową miała aureolę.
– Pewnie jakaś święta – pomyślał chłopiec.
– Święta Rozalia – usłyszał za sobą czyjś głos. – Orędowniczka w czasie zarazy.
Zaskoczony Piotrek odwrócił się. Za jego plecami stał dziwny mężczyzna w długich szatach przypominających sutannę, na głowie miał ociekający deszczem szeroki kapelusz.
– Kim pan jest? – zapytał trochę przestraszony, ale i ciekawie przyglądając się mężczyźnie.
– Dawno, dawno temu – zaczął opowieść nieznajomy, nie zwracając uwagi na pytanie chłopca. – Była tu duża i bogata osada. Jej środkiem biegł trakt, z którego

chętnie korzystali kupcy, wędrowni handlarze płótnem i podróżnicy. Pewnego letniego popołudnia zbierało się na burzę. Drogą szedł strudzony wędrowiec. Był bardzo zmęczony i głodny, liczył więc na pomoc ze strony mieszkańców wsi. Pierwsza napotkana gospodyni pospiesznie zbierała lniane płachty, suszące się w ogrodzie – krzyknęła więc, że nie ma czasu się nim zająć. Druga – nie zwróciła na niego uwagi, spiesząc się, by przed burzą zapędzić wszystkie krowy do zagrody. Trzecią kobietę zauważył, gdy biegła po gromnicę, żeby ją wstawić do okna w obawie przed uderzeniem pioruna. Obojętność spotkała go również ze strony jadącego na wozie gazdy. Ten ofuknął go, krzycząc, by zszedł z drogi, ponieważ chce zdążyć przed burzą zwieźć siano do stodoły. Wędrowiec, widząc, że nie może liczyć na gościnę, podniósł ręce do góry i wypowiedział słowa: „Nie ma w tej wsi szacunku dla przybyszy, więc niech i dla niej nie będzie ratunku. Przyjdzie taki dzień, gdy cała ta ziemia znajdzie się pod wodą". W tym momencie hulający wiatr, a może któryś z mieszkańców, poruszył dzwonkiem zawieszonym w kapliczce na wzgórzu. Podróżnik spojrzał w tę stronę i dodał złowieszczym tonem: „Wszystko znajdzie się pod wodą, z wyjątkiem miejsca, które chroni głos poświęconego dzwonu". Gdy wybrzmiały słowa klątwy, starzec rozpłynął się w powietrzu, a nad wioską rozpętała się potężna ulewa…

Piotrek słuchał jak zaklęty, upodabniając się do stojących na polanie kamiennych figur. Dopiero wołanie dziadka przywróciło go do rzeczywistości:

– Piotrek… gdzie jesteś?

– Dziadku, chodź zobacz, kogo spotkałem – chłopiec wyjrzał zza posągu, by dziadek mógł ich dostrzec.

– Kogo? Nikogo tu nie widzę – powiedział dziadek, rozglądając się dookoła.

– Ale jak to…? Jeszcze przed chwilą tu był… gdzie on jest…? Opowiadał mi o wędrowcu, któremu nikt nie chciał pomóc.

– Kto?– zapytał jeszcze raz dziadek. – Na wyspie jesteśmy najprawdopodobniej sami.

Piotr opowiedział o spotkaniu z tajemniczym mężczyzną, o historii, którą usłyszał, oraz o rzuconej na wieś klątwie.

– Dziadku, co to za dziwne miejsce, gdzie my jesteśmy? – chłopiec powtórzył nurtujące go pytania.

– Jesteśmy na wyspie Slanický Ostrov na Jeziorze Orawskim. Jest to jedyny skrawek ziemi, jaki pozostał po wsi Slanica, zalanej wodami sztucznego jeziora w połowie XX wieku. Stoi tu kościół, kaplica grobowa oraz pomnik i kilkanaście kamiennych rzeźb.

– A kim mógł być tajemniczy nieznajomy, którego spotkałem?

– Nie wiem, może płanetnikiem, duchem, który rządził chmurami i burzą. Wygląda jednak na to, że kimkolwiek by nie był, to już sobie poszedł, zobacz… – dziadek wskazał ręką na przeświecające zza chmur promienie słońca.

***

Opowiadanie powstało na podstawie dwóch wątków. Po pierwsze odwołuje się do funkcjonującego w przeszłości przekonania o istnieniu płanetników – pół-demonicznych postaci posiadających moc kierowania chmurami, deszczem

i gradem. Wyobrażano ich sobie jako wysokich, ociekających wodą mężczyzn. Wierzono, że płanetnika można pokonać i przegonić, dzwoniąc poświęconym dzwonem, którego dźwięk nigdy nie zwiastował śmierci (nie dzwoniono nim podczas pogrzebu). Drugim wątkiem zawartym w opowiadaniu jest historia Slanicy – wsi, którą wysiedlono i zrównano z ziemią podczas budowy zapory wodnej na rzece Orawie. Po spiętrzeniu powstałego w tym miejscu sztucznego jeziora wieś zniknęła pod wodą. Pozostał po niej tylko jeden ślad – niezatopiony szczyt niewielkiego wzgórza, na którym stoją barokowy kościół i lapidarium. We wnętrzu kościoła utworzono galerię prezentującą orawską sztukę ludową. Na wysepkę, zwaną Slanicką Wyspą Sztuki (Slanický Ostrov umenia), można dopłynąć łodzią wycieczkową, która odpływa z przystani w miejscowości Slanická Osada.

Planétnik

– Všetko pripravené! Môžeme vyštartovať!
Petrík čakal iba na to. Miloval plavbu s dedkom na motorovom člne so smiešnym menom „Netýkavka". Vôňa vody a uväzovacích lán, vietor ovievajúci loďku a krik čajok lietajúcich nad hlavami boli pre neho znakom slobody a dobrodružstva. Inak to nemalo byť ani tentokrát. Dedo si zapol vestu, na hlavu si nasadil námornícku čiapku s vyšitou zlatou kotvou a odrazil sa od brehu. Bolo to krásne. Zeleň vody sa prelínala s blankytným nebom a medzi nimi sa ako Fudži vznášal biely kužeľ v tomto ročnom období ešte zasneženej Babej hory. Pohli sa vpred. Špička lode rozbíjala hladkú vodnú hladinu a za sebou zanechávala pás bielej peny. Petrík pozoroval ryby uhýbajúce pred loďou a odvážlivcov skúšajúcich vodné lyže a v diaľke, pri brehu, bociany brodiace sa vo vode. Po chvíli však bezmračné nebo stmavlo. Z neba nad Babou horou začali prichádzať ťažké, olovené mraky zvestujúce riadnu prietrž. Keď to dedko zbadal, nasmeroval loďku k najbližšiemu brehu.
– Ukryjeme sa na tom ostrove, sú tam nejaké stavby – povedal ukazujúc rukou na malý kúsok pevniny zarastený stromami a krami. Doplávali bližšie, v tŕstí hľadali miesto, v ktorom by mohli zakotviť a vystúpiť na breh. Na ten sa dostali v poslednej možnej chvíli. Zotmelo sa a strhol sa prudký vietor, ktorý loďkou nebezpečne kymácal. Po ukotvení šli do vnútrozemia ostrova. Predierali sa cez husté kríky, dostali sa na lesnú lúku čiastočne pokrytú tmavozeleným brečtanom. Zo zelených plôch vytŕčali kamenné sochy pripomínajúce tie, ktoré možno vidieť na starých cintorínoch.
– Kde to sme? – opýtal sa zaskočený Petrík. Chcel ešte niečo dodať, ale ďalšie slová prehlušil náramne silný vietor. Strhla sa búrka a obaja našli úkryt pod dáždnikom vytvoreným z korún stromov.
– Idem zistiť, či nám nestrhlo laná – zakričal dedko. – Počkaj tu chvíľku – dodal a vybral sa rýchlym krokom k brehu.
Petrík ostal sám. Trochu sa bál, ale vedel, že musí byť statočný ako sa na námorníka patrí. Keď búrka na chvíľu ustala, chlapec šiel k najbližšej soche. Bola to žena v červených šatách s lebkou v ruke. Nad hlavou mala aureolu.

– Iste nejaká svätica – pomyslel si chlapec.
– Svätá Rozália – začul za sebou niečí hlas – ochrankyňa pred morovými nákazami.
Zaskočený Petrík sa otočil. Za ním stál zvláštny muž v dlhých šatách pripomínajúcich sutanu, na hlave mal široký klobúk, z ktorého stekal dážď.
– Kto ste? – opýtal sa trochu prestrašený, ale na muža hľadel so záujmom.
– Dávno, pradávno – začal rozprávať neznámy bez toho, aby si všimol chlapcovu otázku – tu bola veľká a bohatá osada. Cez jej stred prechádzala hradská, ktorú využívali kupci, potulní obchodníci s plátnom a cestovatelia. Jedno letné popoludnie sa schyľovalo k búrke. Po ceste šiel zmorený tulák. Unavený a hladný veril, že mu obyvatelia dediny pomôžu. Prvá gazdiná v chvate zbierala ľanové plachty, ktoré sa sušili v záhrade – zakričala, že naňho nemá čas. Druhá si ho pri zaháňaní kráv do ohrady pred búrkou nevšimla. Tretia žena bežala po hromničnú sviecu, aby ju postavila do okna v obave pred zásahom blesku. Ľahostajnosť pocítil aj od gazdu, ktorý prichádzal na voze. Ten naňho skríkol, nech uhne z cesty, pretože chce stihnúť zaviesť seno do stodoly. Keď tulák videl, že s pohostinnosťou počítať nemôže, zodvihol ruky k nebu a povedal: „V tejto dedine nemajú úctu k pútnikom, preto niet pre ňu pomoci. Príde deň a celá táto zem skončí pod vodou". V tej chvíli vietor, a možno niekto z obyvateľov dediny, pohol zvonom zaveseným v kaplnke na vŕšku. Príchodzí sa tým smerom zahľadel a zlovestne dodal: „Pod vodou sa ocitne všetko okrem miesta, ktoré chráni hlas posväteného zvona". Keď kliatbu vypovedal, zmizol a nad dedinou sa rozpútala ohromná búrka …

Petrík počúval ako zakliaty, pripomínal kamenné figúry stojace na lúke. Späť do reality ho vrátil až dedkov hlas:
– Petrík… kde si?
– Dedko, poď tu, pozri, koho som stretol – chlapec vykukol spoza sochy, aby ich dedko uvidel.
– Koho? Nikoho nevidím – povedal dedko rozhliadajúc sa navôkol.
– Ale ako to…? Pred chvíľou tu predsa bol… kde je…? Rozprával mi o tulákovi, ktorému nechcel nikto pomôcť.
– Kto? – opýtal sa dedo ešte raz. – Na ostrove sme skoro určite sami.
Peter mu porozprával o stretnutí s tajomným mužom, o príbehu, ktorý počul a o kliatbe, ktorá bola na dedinu uvalená.
– Dedko, čo je to za zvláštne miesto, na ktorom teraz sme? – chlapec chcel zopakovať otázku, ktorá ho sužovala.
– Sme na Slanickom ostrove na Oravskej priehrade. Je to jediný kúsok zeme, ktorý ostal po dedine Slanica, ktorú vody umelej vodnej nádrže zaliali v polovici 20. storočia. Stojí tu kostol, kaplnka, pomník a niekoľko kamenných sôch.
– A kto bol ten tajomný neznámy, ktorého som stretol?
– Neviem, možno Planétnik, duch, ktorý ovláda mraky a búrky. No vyzerá to tak, že nech to bol ktokoľvek, zrejme už odišiel, pozri… – dedko ukázal rukou na slnko predierajúce sa spoza mračien.

***

Tento príbeh vznikol z dvoch motívov. Prvý sa odvoláva na dávnu vieru v existenciu planétnikov – polodémonických bytostí s mocou ovládať mraky, dážď a ľadové krúpy. Ľudia si ich predstavovali ako vysokých mužov, z ktorých tiekla voda. Verili, že planétnika možno premôcť a odohnať posväteným zvonom, ktorý nikdy nezvestoval smrť (teda nezvonil počas pohrebu). Druhým motívom z rozprávania sú dejiny Slanice, obce, ktorá bola vysídlená a počas budovania priehrady na rieke Orava zrovnaná so zemou. Po napustení nádrže dedinu zalialo a ostala po nej jediná stopa – nezatopený vrchol malého kopca, na ktorom stojí barokovo-klasicistický kostol a lapidárium. V interiéri kostola bola vytvorená galéria oravského ľudového umenia. Na Slanický ostrov umenia sa dá dostať výletnou loďou, ktorá premáva z prístavu v Slanickej osade.

Wizyta znachora

Tomka coraz bardziej bolała głowa. Stracił ochotę do zabawy, nie cieszyły go już gry komputerowe, nawet pieszczoty z psem Barim były ponad jego siły. Przez chwilę pogapił się przez okno na ośnieżoną Babią Górę, przejrzał książkę, którą dostał od babci, ale i to nie sprawiło mu radości. Lubił czytać o nietypowych zjawiskach przyrodniczych, zwłaszcza o trujących roślinach, które potem starał się odszukiwać wśród traw na łące. Tym razem nic go jednak nie interesowało, oczy zachodziły łzami, a do tego zaczęło mu się robić niedobrze.

– Tomek, chodź na kolację! – usłyszał głos mamy zza ściany.

– Zaraz przyjdę – odpowiedział, ale czuł, że nie ma ochoty na żadne jedzenie, a ponadto gdy wstał z krzesła, zakręciło mu się w głowie.

– Tomku… proszę, przyjdź do kuchni… – ponagliła mama, zaglądając do pokoju. - Co ci jest? – zapytała, widząc, że chłopiec dziwnie się zachowuje i niezdrowo wygląda. Przyłożyła rękę do czoła syna.

– Rany! Ty masz gorączkę! Połóż się natychmiast do łóżka, podam ci termometr.

Tomek posłusznie położył się i nakrył kocem. Raz było mu zimno, a raz gorąco. Termometr pokazał 39 stopni. Mama dała mu malinowy syrop, a na czoło przyłożyła zimny kompres. Zamknął na chwilę oczy i niemal natychmiast pogrążył się w niespokojnym śnie. Gdy ponownie je otworzył, nie mógł rozpoznać, gdzie się znajduje. Zamiast nocnej lampki płonęła lampa naftowa, zniknął gdzieś dywan, na miejscu biurka stała dziwna skrzynia w malowane kwiaty, a niknące w półmroku ściany pozbawione były jego ulubionej fototapety z dinozaurami.

– Mamo! – zawołał. – Gdzie ja jestem?

Matka weszła do izby. Miała na sobie dziwny ubiór. Szła boso, ubrana w ciemną spódnicę sięgającą kostek i zwykłą szarą koszulę. Na głowie miała zawiązaną kolorową chustę.

– Biedne dziecko, majaczy, nie wie nawet, gdzie jest – odezwała się do osoby kroczącej za nią. Był to niewysoki, starszy mężczyzna, w podobnej co matka koszuli, białych portkach i kapeluszu. Kulał na prawą nogę, więc podpierał się rzeźbioną laską zwieńczoną głową kota. Starzec przysiadł na zydlu blisko łóżka i spojrzał na chłopca. Gęste brwi prawie przysłaniały mu oczy.

– Pewnie ktoś go urzekł, mało to takich, co patrzą *złymi* oczami, wywołując chorobę. Nie dalej jak wczoraj ktoś urzekł konie sąsiada Nieckuli z Mosornego, tak że toczyły pianę z pyska i galopowały przed siebie jak opętane. Albo u Rafacza na Wełczy, tak się jego córka pochorowała, że bez ścięcia kołtuna z jej włosów się nie obeszło. Podobnie było u starej Anieli mieszkającej przy zawojskim cmentarzu, gdzie tylko wypity na czczo piołun z macierzanką i okadzanie ziołami poświęcone w kościele na Matkę Boską Zielną pomogło. Takie czasy…

– Mamo… gdzie moje klocki Lego, komputer i dinozaury – zapytał półgłosem przerażony Tomek.

– Gada jakimś dziwnym językiem… zaszlochała matka. – Ratujcie, Sebastianie, żeby dusza z dziecka nie uszła… rozpłakała się na dobre.

Znachor, bo taką profesję uprawiał ten dziwny mężczyzna, oparł laskę o łóżko. Matce kazał przynieść w garnuszku świeżej wody z potoku, a sam zza pazuchy wyciągnął pajdę chleba i podjadając co jakiś czas, zabrał się za lepienie z niego kulek. Jedocześnie mamrotał coś o koniach, kotach, oczach i żabach, ale Tomek nie bardzo wiedział, o co chodzi. Gdy matka wróciła i podała znachorowi kubek z wodą, ten wrzucił do niego trzy kulki z chleba. Znów coś mamrotał pod wąsem, obserwując, czy zatoną, czy będą pływać po powierzchni wody. Tomek zdołał rozróżnić tylko kilka zdań:

Jeden mnie urzekł, trzech mnie uzdrowi.
Jakeś wartko wlazło, tak wartko wyleź.
Idź złe ku złemu, dobre ku dobremu, do domu mojego.

Po tych słowach stary Sebastian zanurzył w wodzie kawałek tkaniny i szybkim ruchem otarł Tomkowi twarz w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.
– Proszę przestać! Co pan robi?! – krzyknął Tomek i otworzył oczy.
– Gdzie ja jestem? Co się stało? Gdzie lampa naftowa i malowana skrzynia?
Ku swemu zdziwieniu znów znalazł się we własnym pokoju. Klocki leżały nietknięte na dywanie, a znad łóżka, ze ściennego plakatu, spoglądał groźny tyranozaur. Przy łóżku siedziała mama, taka jak zawsze – w jeansach i koszulce w kratkę.
– Spokojnie, zmieniam tylko kompres na czole. To gorączka powoduje majaczenie. Dobrze, że się obudziłeś. Jest tu pan doktor, który cię zbadał, gdy spałeś. Masz grypę, ale za kilka dni powinieneś być już zdrowy.
Rzeczywiście, za plecami mamy, przy biurku Tomka, siedział jakiś obcy mężczyzna i coś pisał. Wyglądał zwyczajnie, ale miał dziwne krzaczaste brwi i sumiaste wąsy.
– Już wszystko gotowe – powiedział, wstając od biurka. – Tu jest recepta. Lekarstwo proszę podawać chłopcu trzy razy dziennie po jednej łyżeczce. Na wszelki wypadek wypisałem też zwolnienie ze szkoły.
Mężczyzna wręczył mamie receptę. Tomek zauważył, że kiedy do niej podchodził, dziwnie utykał na prawą nogę.
– Jakby nie przeszło za kilka dni, proszę do mnie zadzwonić. Trzymaj się, Tomek, nie daj się chorobie – powiedział, chwytając opartą o łóżko laskę. Na jej trzonku Tomek ze zdziwieniem zauważył wyrzeźbioną głowę kota.
– Czy pan jest znachorem Sebastianem? Potrafi pan leczyć konie? – zapytał z podejrzliwością.
– Znachorem nie jestem, weterynarzem też nie, jestem lekarzem, ale gdybyśmy żyli sto lat temu, pewnie tak by mnie nazywano. Za to imię odgadłeś, nazywam się Sebastian Kot. Koty to moje ulubione zwierzęta, stąd ta laska, która cię tak zainteresowała. Do widzenia państwu, życzę zdrowia – powiedział lekarz i wyszedł z pokoju.
Gdy zostali sami, mama spytała Tomka o tę dziwną, niezrozumiałą dla niej rozmowę. Wtedy chłopiec opowiedział jej swój dziwny sen. Gdy skończył opowieść, mama w zamyśleniu podeszła do szafy, długo w niej czegoś szukała, aż w końcu wyjęła… lampę naftową… taką samą jak ta, którą Tomek widział we śnie.

– To pamiątka po twojej prababci. Jeśli chcesz, to gdy wyzdrowiejesz, kupimy naftę i sprawdzimy czy lampa działa – rzekła z tajemniczym uśmiechem.

***

W opowiadaniu wykorzystano wątek związany z dawnymi, wiejskimi praktykami leczniczymi. Jednym z bohaterów jest znachor – wiejski uzdrowiciel-czarownik, który za pomocą chleba i *żywej wody* (zaczerpniętej z potoku), odczynia rzucony *urok*. Zawarta w opowiadaniu formuła magiczna jest kompilacją zaklęć zanotowanych podczas badań terenowych prowadzonych po północnej stronie Babiej Góry przez między innymi ludoznawcę Władysława Kosińskiego na przełomie XIX i XX wieku.

Návšteva mastičkára

Tomáša bolela hlava stále viac. Stratil chuť hrať sa, netešili ho počítačové hry, dokonca aj maznanie so psom Barom už bolo nad jeho sily. Na chvíľu sa cez okno zadíval na zasneženú Babiu horu, prezrel si knihu, ktorú dostal od babky, no nemal z toho žiadnu radosť. Rád čítal o nezvyčajných prírodných úkazoch, najmä o jedovatých rastlinách, ktoré sa potom snažil nájsť na lúke. Teraz ho však nezaujímalo nič, oči mal od sĺz a k tomu mu ešte bolo aj nedobre.
– Tomáš, poď na večeru! – začul mamin hlas spoza steny.
– Hneď prídem – odpovedal, ale cítil, že nemá chuť na žiadne jedlo a keď sa zdvihol, zatočila sa mu hlava.
– Tomi… prosím ťa, príď do kuchyne … – súrila ho mama nakúkajúc do izby.
– Čo ti je? – opýtala sa, pričom videla, že sa chlapec správa zvláštne a vyzerá nezdravo. Priložila mu ruku k čelu.
– Ach! Veď ty máš horúčku! Okamžite si ľahli do postele, prinesiem ti teplomer.
Tomáš si poslušne ľahol a prikryl sa dekou. Raz mu bola zima, potom hneď horúco. Teplomer ukázal 39 stupňov. Mama mu dala malinový sirup a na čelo položila studený obklad. Na chvíľu zatvoril oči a ihneď sa ponoril do nepokojného sna. Keď ich opäť otvoril, nevedel zistiť, kde sa nachádza. Namiesto nočnej lampy horela na stole petrolejka, kamsi zmizol koberec, na mieste pracovného stola stála zvláštna skriňa s maľovanými kvetmi a steny strácajúce sa v tme boli bez jeho obľúbenej fototapety s dinosaurami.
– Mama! – zakričal. – Kde som?
Mama vošla do izby. Mala na sebe zvláštny odev. Šla naboso, bola odetá v sukni siahajúcej po členky a obyčajnej sivej košeli. Na hlave mala uviazanú farebnú šatku.
– Chudáčik, blúzni, ani nevie, kde je – oslovila osobu, ktorá kráčala za ňou. Bol to nižší starší muž v podobnej košeli ako mama, mal biele nohavice a klobúk. Kríval na pravú nohu, preto sa podopieral vyrezávanou bakuľou s mačacou hlavou. Starec si prisadol k posteli a pozrel na chlapca. Husté obočie mu skoro prekrývalo oči.
– Iste ho niekto uriekol, málo je takých, čo pozerajú *zlými* očami a vyvolajú chorobu.

PLASTIK
PAPIER

Včera niekto uriekol kone suseda Neckulu z Mosorného, penili z pyskov a cválali ako posadnuté. Alebo u Rafača vo Welczy, jeho dcérka tak ochorela, že sa to bez odstrihnutia spletenca jej vlasov nezaobišlo. Podobne to vyzeralo aj u starej Anjeli, čo býva pri zawojskom cintoríne, tam pomohlo iba vypiť na lačno palinu s materinou dúškou a okiadzanie bylinkami posvätenými v kostole v deň Nanebovzatia Panny Márie. Také sú časy…

– Mama… a kde je moje lego, počítač a dinosaury – opýtal sa slabým hlasom zaskočený Tomáš.

– Rozpráva nejakým zvláštnym jazykom… zavzlykala mama. – Zachráňte, Šebastián, aby detská duša neušla …A úplne sa rozplakala.

Mastičkár, pretože takému povolaniu sa venoval tento zvláštny muž, oprel bakuľku o posteľ. Matke prikázal priniesť v hrnčeku čerstvú vodu z potoka a spod pazuchy vybral kúsok chleba a pritom, ako z neho z času na čas odjedal, lepil z neho guľôčky. Zároveň si mrmlal niečo o koňoch, mačkách, očiach, žabách, ale Tomáš nechápal, o čo ide. Keď sa mama vrátila a podala mastičkárovi hrnček s vodou a on doň vhodil tri chlebové guľôčky. Znovu si čosi mrmlal popod fúzy a pozoroval, či sa ponoria, či budú plávať na vode. Tomáš zachytil iba niekoľko viet:

Jeden ma zaklial, traja ma uzdravia.
Čo rýchlo vošlo, nech rýchlo vylezie.
Zlé ku zlému, dobré k dobrému, do môjho domu.

Po týchto slovách starý Šebastián ponoril do vody kúsok látky a rýchlym pohybom utrel Tomášovi tvár proti smeru hodinových ručičiek.

– Prestaňte! Čo to robíte?! – skríkol Tomáš a otvoril oči.

– Kde som? Čo sa stalo? Kde je petrolejka a maľovaná skriňa?

Na svoje počudovanie bol znovu vo svojej izbe. Legové kocky boli tak ako predtým na koberci a spoza postele hľadel z plagátu na stene tyranosaurus. Pri posteli sedela mama, taká ako vždy – v rifliach a kockovanej košeli.

– Pokoj, iba ti mením obklad na čele. To blúznenie máš z horúčky. Dobre, že si sa prebral. Je tu pán doktor, ktorý ťa vyšetril, kým si spal. Máš chrípku, ale o pár dní už budeš zdravý.

Naozaj, za mamou, pri Tomášovom stole, sedel nejaký cudzí muž a niečo písal. Vyzeral celkom normálne, ale mal zvláštne husté obočie a bujné fúzy.

– Hotovo – povedal vstávajúc od stola. – Tu je recept. Liek podávajte chlapcovi trikrát denne po jednej lyžičke. Pre istotu Vám dám aj ospravedlnenku do školy.

Muž dal mame recept. Tomáš si všimol, že keď k nej vykročil, zvláštne kríval na pravú nohu.

– Ak mu to po pár dňoch neprejde, zavolajte. Drž sa Tomáš a nevzdávaj sa – povedal a vzal si paličku opretú o posteľ. Na jej rukoväti si udivený Tomáš všimol vyrezanú hlavu mačky.

– Vy ste mastičkár Šebastián? Viete liečiť kone? – opýtal sa podozrievavo.

– Nie som ani mastičkár, ani veterinár, som lekár, ale keby sme žili pred sto rokmi, iste by ma tak volali. Ale meno si uhádol, volám sa Šebastián Kocúr. Mačky sú moje

obľúbené zvieratá, aj preto mám paličku, ktorá ťa tak zaujala. Dovidenia, veľa zdravia – povedal lekár a vyšiel z izby.
Keď ostali sami, mama sa Tomáša spýtala na ten zvláštny, pre ňu nezrozumiteľný rozhovor. Vtedy jej chlapec porozprával o svojom sne. Keď dorozprával, mama zamyslene pristúpila ku skrini, dlho v nej niečo hľadala a nakoniec aj vybrala.... petrolejovú lampu, rovnakú, akú videl Tomáš v sne.
– Je to pamiatka po tvojej prababke. Keď vyzdravieš, kúpime petrolej a zistíme, či lampa funguje – povedala s tajomným úsmevom.

***

V tomto príbehu bol využitý motív súvisiaci so starodávnymi liečebnými postupmi. Jedným z hrdinov je mastičkár – dedinský liečiteľ-čarodejník, ktorý pomocou chleba a *živej vody* (z potoka) ruší *kliatbu*. Magická formulka uvedená v rozprávaní je kompiláciou zaklínadiel zaznamenaných počas terénneho výskumu na severnej strane Babej hory, realizovaného okrem iného etnológom Władysławom Kosińským na prelome 19. a 20. storočia.

Kość nietoperza

W remizie panowała wrzawa. Słychać było śpiew, muzykę, stukot obcasów i śmiech wirujących par. Wydawało się, że młodość i siła tancerzy rozniesie w pył drewniany budynek. Na parkiecie królował Andrzej, dziewiętnastoletni syn leśnika z Zawoi, zwinny, gibki i niezwykle energiczny młodzieniec. Wyglądał tak jakby w tańcu frunął nad ziemią. Żadna z wykonywanych figur nie sprawiała mu trudności, choć z pewnością wymagała dużego wysiłku. Hania, jego dawna koleżanka ze szkoły, zapatrzona była w niego jak w obraz. Nie mogła oderwać wzroku od jego roześmianych oczu, opalonej twarzy i zwinnych ruchów. To jak bardzo była zakochana, wiedziały tylko dwie najbliższe przyjaciółki. Niestety, jej miłość do Andrzeja stała się dla dziewczyny jej największym utrapieniem. Wszystko dlatego, że chłopiec nie zwracał na nią uwagi. W głowie miał tylko las, w którym się wychował i gdzie pracował z ojcem, konie, które uwielbiał nade wszystko, i taniec, podczas którego zapominał o bożym świecie.
Hania, nie mogąc spać z powodu nieszczęśliwej miłości, wpadła w rozpacz. Ze łzami w oczach żaliła się przyjaciółce:
– Co zrobić, by Jędrek choć na mnie spojrzał…? – płakała. – Jak spowodować, by zwrócił na mnie uwagę?
– Mama mówiła mi, że Helka, która mieszka na skraju wsi, to czarownica – odparła koleżanka. – Podobno *odbiera* krowom mleko, zna się na ziołach i czarach. Idź do niej, jeśli się nie boisz, może znajdzie lekarstwo na twoje zmartwienie.
Hania się bała. I to jak! Wiedziała o Helce, już kiedyś myślała, żeby skorzystać z jej rad, ale świadomość, że będzie musiała iść do mrocznej chaty pod lasem, napawała ją lękiem.

– A właśnie, że pójdę! – odpowiedziała hardo. – Wolę spotkać czarownicę, niż tkwić w tej beznadziejnej sytuacji.
Wieczorem, gdy wykonała wszystkie domowe obowiązki, wymknęła się z domu. Szła szybko pomiędzy zagrodami, niosąc swoją najładniejszą chustkę, która miała być zapłatą dla czarownicy. Kiedy wyszła poza zabudowania, dostrzegła majaczący w oddali ciemny las i maleńkie światełka w oknach chaty czarownicy. Zimny, orawski wiatr targał koronami drzew, szamotał jej spódnice i włosy. Zawahała się na chwilę… Dobrze, że chociaż księżyc oświetlał drogę pomiędzy miedzami. Odważnie uniosła głowę i pomaszerowała w kierunku świateł. Gdy dotarła na miejsce, zastukała do drzwi.
– Wejdź, Haniu, czekam na ciebie – usłyszała kobiecy głos.
Dziewczyna pchnęła skrzypiące odrzwia i znalazła się w izbie. Strach powodował, że nie mogła wypowiedzieć ani jednego słowa. Przemogła się jednak i zapytała:
– Skąd znacie moje imię?
– Znam nie tylko twoje imię, ale i powód, dla którego tu przychodzisz – odparła Helka. – Nieodwzajemniona miłość to spory ciężar…
W izbie panował półmrok, odrobinę rozjaśniony światłem sączącym się z niedomkniętych drzwiczek od pieca. Hania uważnie przyjrzała się kobiecie. W sumie nie wyglądała na czarownicę, ale na zwykłą *kszesno matke*, jakich we wsi wiele. Siedziała przy piecu, łuskając groch, ubrana była w brązowy serdak i ciemną spódnicę, jak wiele zawojskich kobiet. U jej stóp wylegiwały się dwa koty – czarny i biały.
– Aby zdobyć serce ukochanego – kontynuowała Helka, nie zwracając uwagi na dziewczynę. – Musisz zdobyć kość *gacopiyrza*, która kształtem przypomina grabki. Tą kością musisz podrapać ukochanego podczas mszy, ale tak, by tego nie poczuł. Jeśli ci się uda, chłopiec będzie twój, jeśli nie – stracisz go na zawsze.
Hania słuchała jak zaczarowana. A więc jednak jest nadzieja. Poczuła radość pomieszaną ze strachem i niepewnością, czy podoła tej próbie.
– Idź, dziecko, do domu, czeka cię niełatwe zadanie – powiedziała Helka.
Dziewczynie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, zostawiła czarownicy chustkę, podziękowała i biegiem ruszyła do domu. Myślami była już w jaskini na południowych stokach Babiej Góry. Dzięki Bogu, zbliżała się noc świętojańska, podczas której czary posiadały dodatkową moc.
Zadanie, które miała przed sobą, było bardzo trudne. Do pieczary musiała iść w nocy, poza tym panicznie bała się myszy, a legenda mówi, że nietoperz to mysz, która zjadła poświęconą kościelną świecę i dzięki temu wyrosły jej skrzydła. Nie było jednak innej rady, zabrała worek, świeczkę, krzesiwo i kiedy wszyscy poszli spać, cicho wymknęła się z domu. Na miejsce dotarła przed północą. Wejście do jaskini było niewielkie i pokryte pajęczynami. Hanię przeszedł dreszcz obrzydzenia. Czuła drżenia łydek i bicie własnego serca.
– Nic to, dam radę, dam radę… – powtarzała w myślach.
Ułamała gałązkę świerka i dokładnie omiotła otwór jaskini. Zapaliła świeczkę i z duszą na ramieniu zaczęła się wczołgiwać do środka. Miała wrażenie, że pająki chodzą jej po plecach. Wewnątrz groty było nieco więcej miejsca, ale ogarnięta

strachem przykucnęła tuż przy wejściu. Światło świecy wystarczyło, by rozjaśnić pieczarę i ukazać wiszące pod stropem nietoperze. Hania ostrożnie odłożyła świeczkę i chwyciła worek. Jak złapać tego stwora? – zastanawiała się, patrząc na uśpione zwierzęta. Stwierdziła, że musi to zrobić z zaskoczenia. Wybrała nietoperza wiszącego najniżej i gwałtownie zerwała się z ziemi. Jednak w tym samym momencie uderzyła głową o wystający ze stropu kamień i upadła z okrzykiem bólu. Zbudzone i przestraszone hałasem nietoperze zerwały się i zaczęły lecieć w stronę wyjścia z groty. Hania skuliła się ze strachu. Piszczące i łopoczące skrzydłami stwory przeleciały nad nią i w jaskini znów nastała cisza. Słychać było tylko żałosne chlipanie dziewczyny. Hania płakała po części ze strachu, a po części ze złości. Przez swoją nieostrożność wypłoszyła wszystkie nietoperze i plan się nie powiódł. Przez łzy dojrzała jednak, że wśród załomów skalnych leży coś dziwnego. Podeszła bliżej i okazało się, że znalazła cmentarzysko nietoperzy. Na ziemi leżał stos białych kostek, a wśród nich takie, które kształtem przypominały grabki. Nie wierzyła własnym oczom, a więc może jeszcze nie wszystko stracone! Wybrała jedną z nich, schowała do kieszeni serdaka i z uczuciem ulgi opuściła jaskinię. Wracając do domu, rozmyślała o nadchodzącej niedzieli. Czekało ją bowiem ostatnie zadanie – potajemne podrapanie Andrzeja kościanymi grabkami podczas mszy. Tu nieoczekiwanie z pomocą przyszły jej koleżanki, które w trakcie wchodzenia ludzi do kościoła, tak „zakręciły" tłumem, że Hania znalazła się tuż za plecami Sebastiana. Gdy wszyscy już klęczeli, dziewczyna wyjęła kostkę z kieszeni i delikatnie, tak by nikt nie widział, podrapała chłopca w brązową cuchę, którą miał zarzuconą na ramię. Szczęśliwa, że plan się powiódł, z radością oczekiwała działania czarów. Minęło jednak kilka dni, a nic się nie wydarzyło. Sebastian nadal nie zwracał na nią uwagi. Czyżby więc cały wysiłek poszedł na marne? Hania martwiła się coraz bardziej.

Któregoś ranka poszła z przyjaciółkami zbierać borówki w lesie. Dziewczęta były same na śródleśnej polanie, więc postanowiły przeanalizować sytuację i spróbować znaleźć błąd. Hania jeszcze raz opowiedziała o wizycie u czarownicy, przygotowaniach do wyprawy, niefortunnym łowieniu nietoperza, strachu, którego się najadła w jaskini i odnalezieniu kości. Wszystko zgadzało się z zalecaniami czarownicy. Dziewczęta zamilkły w zadumie, dokończyły pracę i ruszyły w kierunku wsi. Nie wiedziały jednak, że ktoś słyszał ich rozmowę. Na drzewie siedział ukryty Andrzej, wysłany przez ojca do lasu, by tropić kłusowników, z którymi walczył leśniczy. Chłopak nie wiedział, o kogo chodziło w zasłyszanej historii, ale z uznaniem docenił odwagę i upór dziewczyny. Od tego momentu zaczął częściej spoglądać w jej kierunku. Zauważył, że ma piękne, ale bardzo smutne oczy i poważny wyraz twarzy. Myślami wracał do podsłuchanej rozmowy. Zapragnął zobaczyć, jak dziewczyna wygląda, kiedy się uśmiecha. Postanowił też potajemnie pomagać jej w pracy. O świcie, gdy wszyscy jeszcze spali, przyniósł drewna z lasu, napełnił cztery wiadra wodą, a nawet zgrabił za nią siano. Na próżno – na twarzy Hani malowało się ogromne zdziwienie, ale nie uśmiech. W końcu Sebastian użył swojego największego atutu i podczas potańcówki urządzonej w remizie, zaprosił ją do tańca, śpiewając:

Zodno mi się z wos tak nie podobo,
Hej, jak moja Hanecka,
Corne ocka mo, na mnie spoglodo,
Hej, ciymno blondynecka.

Słysząc to, na twarzy Hani pojawił się długo oczekiwany przez chłopca uśmiech. Ruszyli do tańca. A jednak czary zaczęły działać…

***

Opowiadanie powstało na podstawie dawnych wierzeń związanych z magią miłosną oraz magicznymi właściwościami nietoperza (zwanego *gackiem*, *gacopirzem*). Według powszechnego przekonania to tajemnicze (łączone z siłami piekielnymi) zwierzę, powstaje z myszy, która zjadła poświęconą świecę - gromnicę lub świecę, która wcześniej płonęła na ołtarzu podczas mszy. Na terenie polskich Karpatach nieszczęśliwie zakochani do zdobycia serca ukochanej osoby używali kości nietoperza w kształcie grabi. Wierzono też, że szczególnie skuteczna jest kość nietoperza złapanego w jaskini w pierwszy piątek miesiąca lub w noc świętojańską.

Kosť netopiera

V hasičskej zbrojnici panovala vrava. Bolo počuť spev, hudbu, klopkanie podpätkov a smiech krútiacich sa párov. Zdalo sa, že mladosť a sila tanečníkov rozmetá drevenú stavbu na prach. Na parkete kraľoval Andrej, devätnásťročný syn lesníka zo Zawoje, mrštný, ohybný a mimoriadne energický mládenec. Vyzeral, ako by sa v tanci vznášal nad zemou. Žiadna figúra mu nerobila problém, aj keď bola určite namáhavá. Hana, jeho bývalá spolužiačka, naň hľadela ako na svätý obrázok. Nemohla odtrhnúť zrak od jeho rozosmiatych očí, opálenej tváre a ladných pohybov. To, ako veľmi bola zaľúbená, vedeli iba jej dve najbližšie kamarátky. Bohužiaľ, jej láska k Andrejovi bola pre ňu tiež najväčším utrpením. A to všetko preto, že si ju nevšímal. V hlave mal iba les, v ktorom vyrástol a v ktorom pracoval s otcom, kone, ktoré nadovšetko miloval a tanec, pri ktorom zabúdal na boží svet.
Hanu, ktorá pre nešťastnú lásku nemohla spať, popadlo zúfalstvo. So slzami v očiach sa žalovala priateľke:
– Čo mám robiť, aby sa na mňa aspoň pozrel…? – plakala. – Čo robiť, aby si ma všimol?
– Mama vravela, že Hela, ktorá býva za dedinou, je čarodejnica – odpovedala kamarátka. – Vraj *berie* kravám mlieko, pozná bylinky a čary. Choď za ňou, ak sa nebojíš, možno nájde liek na tvoje trápenie.
Hana sa bála. A ako! O Hele vedela, už jej napadlo, že by mohla využiť jej rady, ale to, že bude musieť ísť do tmavej chalupy pod lesom, ju napĺňalo strachom.
– A pôjdem! – odpovedala hrdo. – Radšej stretnúť čarodejnicu ako ostávať v tejto beznádejnej situácii.
Večer, keď už mala hotové všetky domáce práce, vybehla z domu, prebehla rýchlo cez záhrady a v rukách niesla svoju najkrajšiu šatku, ktorá mala byť odmenou

pre čarodejnicu. Keď vyšla za dedinu, zbadala v diaľke temný les a maličké svetielka v oknách čarodejkinej chalupy. Studený oravský vietor kmásal koruny stromov, dvíhal jej sukňu aj vlasy. Na chvíľku stratila rovnováhu... Dobre, že aspoň mesiac osvetľoval cestu medzi medzami. Odvážne dvihla hlavu a vydala sa za svetlom. Keď sa dostala na miesto, zaklopala na dvere.
– Vojdi, Hana, čakám na teba – začula ženský hlas.
Dievčina odtlačila vŕzgajúce dvere a vošla. Od strachu nebola schopná vypovedať ani slovka. Premohla sa a opýtala:
– Odkiaľ poznáte moje meno?
– Nepoznám len tvoje meno, ale aj dôvod, pre ktorý tu prichádzaš – odvetila Hela.
– Neopätovaná láska je veľká ťažoba…
V izbe bolo prítmie, ktoré trochu rozjasňovalo svetlo vychádzajúce z privretých dvierok do pece. Hana sa žene pozorne prizrela. Nevyzerala ako čarodejnica, ale ako obyčajná *tetka,* ktorých je na dedine veľa. Sedela na prípecku, lúskala hrach, odetá bola v hnedom kabátci a tmavej sukni, rovnako ako mnoho zawojských žien. Pri jej nohách vylihovali dve mačky – čierna a biela.
– Ak chceš získať srdce svojho milovaného – pokračovala Hela nevšímajúc si dievčinu. – Musíš získať kosť *gacopiera*, ktorá svojím tvarom pripomína hrabličky. Touto kosťou musíš poškrabať milovaného počas omše, ale tak, aby to necítil. Keď sa ti to podarí, chlapec bude tvoj, ak nie, navždy ho stratíš.
Hana počúvala ako omráčená. Nádej teda existuje. Pocítila radosť zmiešanú so strachom a neistotu, či danú skúšku zvládne.
– Choď, dieťa, domov, čaká ťa ťažká úloha – povedala Hela.
Dievčine nebolo treba dvakrát opakovať, čarodejnici nechala šatku, poďakovala a utekala domov. Myšlienkami už bola v jaskyni na južnom svahu Babej hory. Vďaka Bohu, blížila sa Svätojánska noc, počas ktorej mali čary ešte väčšiu moc.
Úloha, ktorá pred ňou stála, bola ťažká. Do jaskyne musela ísť v noci, okrem toho sa panicky bála myší a legenda predsa hovorí, že netopier je myš, ktorá zjedla posvätenú kostolnú sviecu a vďaka tomu jej vyrástli krídla. Inej pomoci nebolo, vzala vrece, sviečku, kresadlo a keď už všetci spali, potichučky vyšla z domu. Na miesto sa dostala pred polnocou. Vstup do jaskyne nebol veľký a k tomu bol zarastený pavučinami. Hanu až striaslo. Cítila chvenie lýtok a tlkot vlastného srdca.
– Nič to, zvládnem to, zvládnem to… – opakovala si v hlave.
Odlomila smrekovú halúzku a dôkladne vymietla otvor do jaskyne. Zapálila sviečku a s dušou na krajíčku sa začala plaziť dnu. Zdalo sa jej, že jej pavúky chodia po chrbte. Vo vnútri už bolo viac miesta, ale prestrašená ostala hneď pri vstupe. Svetlo sviečky stačilo na to, aby sa v jaskyni rozjasnilo a bolo vidieť visiace netopiere. Hana opatrne odložila sviečku a chytila vrece. Ako takého tvora chytiť? – rozmýšľala a hľadela pri tom na spiace zvieratá. Povedala si, že to musí spraviť znenazdajky. Vybrala si netopiera visiaceho najnižšie a vyskočila. V tom momente si však udrela hlavu o kameň, ktorý trčal zvrchu a spadla s bolestným výkrikom. Zobudené a prestrašené netopiere sa strhli a začali lietať k východu. Hana sa zo strachu skrčila. Pištiace a krídlami trepotajúce tvory nad ňou preleteli a v jaskyni bolo znovu ticho. Počuť bol iba žalostný vzlyk dievčaťa. Hana plakala aj od strachu, aj od zlosti. Svojou neopa-

trnosťou vyplašila všetky netopiere a úloha sa nepodarila. Cez slzy si však všimla, že v skalných stenách leží niečo zvláštne. Prišla bližšie a ukázalo sa, že našla cintorín netopierov. Na zemi ležala kopa bielych kostičiek a medzi nimi také, ktoré pripomínali hrabličky. Neverila vlastným očiam, možno ešte nie je všetko stratené! Vybrala si jednu z nich, skryla ju do vrecka na kabátci a s pocitom úľavy opustila jaskyňu. Na ceste domov myslela na najbližšiu nedeľu. Čakala ju posledná úloha – potajomky podriapať Andreja hrabličkami z kosti počas omše. Tu jej nečakane prišli na pomoc jej kamarátky, ktoré počas vchádzania ľudí do kostola tak „zatočili" dav, že sa Hana zrazu ocitla za chrbtom Andreja. Keď už všetci kľačali, dievčina vybrala kostičku z vrecka a jemne, tak aby to nikto nevidel, podriapala chlapcovi hnedú vlnenú vestu, ktorú mal prehodenú cez ramená. Šťastná, že sa plán podaril, s radosťou očakávala pôsobenie čarov. Prešlo však niekoľko dní, no nič sa nestalo. Andrej si ju ďalej nevšímal. Azda všetka tá snaha bola zbytočná? Hana sa trápila stále viac.

Jedného dňa išla s kamarátkami ráno zbierať borievky do lesa. Dievčatá boli na poľane uprostred lesa, prehodnocovali situáciu a pokúšali sa nájsť chybu. Hana im ešte raz povedala o návšteve u čarodejnice, o prípravách na výpravu, o nešťastnom love netopiera, o strachu, ktorý ju zmáhal v jaskyni a o nájdení kostí. Všetko sedelo s pokynmi čarodejnice. Dievčatá zamyslene stíchli, dokončili prácu a vybrali sa späť do dediny. Nevedeli však, že niekto ich rozhovor počúval. Na strome sedel ukrytý Andrej, ktorého otec poslal do lesa stopovať pytliakov, pretože robili lesníkovi v lese riadnu šarapatu. Chlapec nevedel, o koho v tomto príbehu ide, ale mal uznanie pre dievčinu pre jej odvahu a vytrvalosť. Od tejto chvíle na ňu začal hľadieť častejšie. Všimol si, že má krásne, ale veľmi smutné oči a vážnu tvár. V myšlienkach sa vracal k započutému rozhovoru. Zatúžil vidieť, ako dievčina vyzerá, keď sa usmieva. Rozhodol sa potajomky pomáhať jej pri práci. Na svitaní, keď ešte všetci spali, priniesol drevo z lesa, naplnil štyri vedrá vodou a dokonca za ňou pohrabal seno. Zbytočne – na tvári Hany bolo badať veľké prekvapenie, ale nie úsmev. Nakoniec Andrej použil svoj najväčší tromf, počas zábavy ju pozval do tanca a spieval:

Žiadna sa mi z vás až tak neľúbi,
Hej, jak moja Hanička,
Čierne očká má, na mňa tu hľadí,
Hej, tmavá blondínočka.

Keď to Hana počula, na jej tvári sa objavil dlho očakávaný úsmev a začali tancovať. Predsa len tie čary zafungovali …

***

Rozprávanie vzniklo na základe starodávnych povier spojených s milostnou mágiou a magickými vlastnosťami netopiera (zvaného *gacek*, *gacopier*). Ľudia verili, že toto tajomné zviera (spojené s pekelnými silami) vzniká z myši, ktorá zjedla posvätenú sviecu – hromnicu alebo sviecu, ktorá predtým horela počas omši na oltári. Na území poľských Karpát používali nešťastne zamilovaní na získanie srdca milej alebo milého kosť netopiera v tvare hrablí. Verili tiež, že mimoriadne účinná je kosť netopiera chyteného v jaskyni v prvý piatok v mesiaci alebo počas Svätojánskej noci.

Trzynaście beczek

Nareszcie wakacje! Bartek i Karolina byli świeżo upieczonymi archeologami. Zgodnie z planem, tuż po obronie pracy magisterskiej, postanowili wyjechać na urlop do Zawoi, by spędzić kilka dni w górach. Udało im się wynająć starą chałupę w Zawoi Barańcowej, a mieszkający opodal sympatyczny właściciel zaoferował śniadania i kolacje w dobrej cenie. Wszystko układało się pomyślnie z wyjątkiem pogody. Odkąd dotarli do Zawoi zaczął padać rzęsisty deszcz, wykluczający wszelkie górskie wędrówki. Bartek postanowił rozpalić w kominku, a Karolina z nudów zaczęła szperać w znajdującej się w izbie niewielkiej biblioteczce. Były w niej przede wszystkim stare, oprawione w skórę, wysłużone modlitewniki. Ale znalazła także egzemplarz znanej książki kucharskiej *365 obiadów* Lucyny Ćwierczakiewiczowej z 1860 roku, *Żywoty świętego Franciszka* wydane w 1919 roku oraz dziwny notatnik, o wyszczerbionych, jakby nadpalonych kartkach. Otworzyła go na pierwszej stronie i zaczęła czytać na głos: – „Ja cię zażegnuje, ty Skarbie, dziuro i zakryty kruszcu, przez siłę i moc Boską zażegnuje cię przez tego, który Niebo i Ziemię stworzył, żebyś się otworzyła…" – dalsza część tekstu była rozmyta.

– Co czytasz? – zapytał Bartek, dmuchając na ogień, który nie chciał się rozpalić.

– Znalazłam jakieś dziwne zapiski, widać, że bardzo stare. Sądząc po wyglądzie okładki oraz kwaskowatym zapachu kart, mniemam, że pochodzi z końca XVIII wieku – powiedziała ze znawstwem.

Karolina z coraz większym zainteresowaniem przerzucała karty, na których, obok trudnych do odczytania notatek, pojawiały się też tajemnicze znaki.

– „Magnes, perspektywa, śpilka stalowa, świątobliwości, kadzidło, mirra, dzwonek loretański…", co to może być? – zastanawiała się na głos. – „Przy tej Babiej Górze niedaleko widnieje *Falco montis,* przy której jest wielka skała przewieszona, jakby na dół chciała spaść. … Odważ się penetrować *Falco montis* i tak z wielkim staraniem Opatrzność Boża raczy dać ci dociec i używać wiele dobrego…".

– Puk, puk. Dobry wieczór, przyniosłem kolację! – głos wchodzącego do izby gospodarza przerwał czytanie.

– Dobry wieczór. Dobrze pana widzieć – zaczął rozmowę Bartek. – Wśród książek znaleźliśmy stary notes. Czy wie pan, do kogo należał?

– Tak, to pamiątka rodzinna. Notatki człowieka, który w latach trzydziestych odwiedzał mojego ojca. Zjawiał się tu co rok na świętego Jana, mówił, że idzie od Ślemienia, był ubogo ubrany, ale niósł ze sobą duży worek. Za każdym razem pytał ojca tajemniczym szeptem, czy znajdzie się dla niego dobrze zaryglowane pomieszczenie, bo „to" – tu wskazywał na worek – wieczorem będzie już pełne. Ojciec umieszczał go właśnie w tej izbie, w której teraz państwo mieszkają, ponieważ była jedynym pomieszczeniem zamykanym na klucz. Któregoś roku wędrowiec pozostawił notes na stole i więcej się już nie pokazał… No, nie chcę przeszkadzać, smacznego i dobrej nocy, podobno jutro ma się przejaśnić.

– Dobranoc, oby miał pan rację – opowiedział Bartek.

Gdy tylko zamknęły się za gospodarzem drzwi, obydwoje pochylili się nad notesem. Sporo kart było nieczytelnych, na niektórych widniały tajemnicze znaki: krzyże, kółka i kraty. Z trudem udało się jeszcze odczytać trzy wyrazy: „portae tres", „tredecim" i „dolio".
– Ja już gdzieś coś podobnego widziałem – powiedział Bartek. – Tylko gdzie?
– Te wyrazy po łacinie można przetłumaczyć jako „troje drzwi", „trzynaście" i „beczka"… „Montis" to góra, ale co oznacza słowo „Falco"? – zastanawiała się Karolina.
– Sprawdź w internetowym słowniku łacińskim, może akurat coś będzie – doradził chłopak, a sam jeszcze raz na głos przeczytał: – …odważ się penetrować *Falco montis* i tak z wielkim staraniem Opatrzność Boża raczy dać ci dociec i używać wiele dobrego… – Wiem, co to jest! – zakrzyknął. – To notes poszukiwacza skarbów, specyficzny przewodnik, czyli… *spisek*! – ucieszył się chłopak.
– Zobacz – tłumaczył. – Magnes oznacza kompas, perspektywa to lornetka lub raczej luneta, wymienione „świątobliwości" to magiczne przedmioty, które miały ustrzec śmiałka przed niebezpieczeństwem i złymi mocami. Te dziwne rysunki to odwzorowanie rytów naskalnych, którymi oznaczano miejsca z ukrytymi skarbami. Czytałem o tym w książce profesora Kolbuszewskiego. Pozostało nam odszyfrować tajemniczą nazwę „Falco" i znaleźć sens tych łacińskich terminów.
– „Falco" to w języku polskim sokół - powiedziała pochylona nad smartfonem Karolina. – Więc „Falco montis" to Sokola Góra albo… Sokolica! – powiedzieli jednocześnie.
– A więc znamy już cel naszej jutrzejszej wycieczki. Zwłaszcza, że ma poprawić się pogoda, a i termin nam sprzyja – jutro jest dzień świętego Jana – 24 czerwca – czyli moment, w którym, jak wierzono, góry otwierają się i ukazują ukryte skarby.
Karolina na wszelki wypadek sfotografowała cały notes i spakowała swój plecak. Zabrała kompas i lornetkę, dodała jeszcze latarkę, scyzoryk i mapę. Postanowili, że wyruszą wcześnie rano, by pod ścianą Sokolicy znaleźć się przed innymi turystami.
Poranek przywitał ich gęstą mgłą. Wyruszyli z chałupy nieco przed siódmą i zanim weszli na górską ścieżkę, w niedużym sklepiku zaopatrzyli się w suchy prowiant. Szli czarnym szlakiem, by jak najszybciej dotrzeć do schroniska na Markowych Szczawinach. Tutaj chwilę odpoczęli i po krótkiej przerwie ruszyli dalej. Wędrowali Górnym Płajem aż do Szkolnikowych Rozstajów, gdzie skręcili na Perć Przyrodników – szlak prowadzący na szczyt Sokolicy. W porannej, gęstej mgle powalone przez wiatr drzewa przypominały zaklętych rycerzy, śpiących pod grubą kołdrą z mchu i liści. Pół godziny później dotarli do piętra kosodrzewiny. Pod stopami wyczuli skalne rumowisko, a przed oczami, od czasu do czasu, ukazywała się północna ściana Sokolicy. W pewnym momencie postanowili zejść z wydeptanej ścieżki i podejść jak najbliżej pionowego urwiska. Przedzierali się przez mokre od rosy iglaste krzewy. Skały, ukryte w cieniu masywu Babiej Góry, ociekały wodą, mimo że mgła powoli ustępowała, odsłaniając fantastyczne widoki na Zawoję. Wkrótce bez przeszkód podeszli pod skalny uskok.
– Nie mamy kasków, mam nadzieję, że na górze nikogo nie ma, gdyby ktoś teraz zrzucił kamień, to mógłby nas zabić – zauważył Bartek.

– Być może zaraz będziemy bezpieczni – powiedziała Karolina, dłonią gładząc skałę.
– Zobacz tutaj… na ten mokrej ścianie widać zarys znaku, który widzieliśmy w notesie.
Dziewczyna wyjęła telefon i szybko przesuwała zdjęcia. Na jednym z nich widniały trzy koła zwieńczone krzyżem – identyczne jak to, które widniało na skale.
– Tu gdzieś musi być jakieś wejście, może jaskinia, zapadnia lub coś takiego…
– Bartek szukał w załomach i szczelinach skały wskazówki, która naprowadziłaby ich na dalszy trop. W tym czasie Karolina postanowiła odpocząć i usiadła na płaskim, w miarę suchym kamieniu. Gdy tylko docisnęła kamień swoim ciężarem, okazało się, że uruchomiła ukryty mechanizm, który spowodował, że skała ustąpiła, odsłaniając masywne, kamienne drzwi. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, złapali plecaki i z całych sił pchnęli drzwi do środka. Otworzyły się z przeraźliwym zgrzytem, świadczącym o tym, że od dawna nikt tu nie zaglądał. Włączyli latarki, które oświetliły mroczny korytarz. Ostrożnie weszli do środka.
– Pamiętasz filmy z Indianą Jonesem? - zapytał Bartek. – Myślałem, że to fantazja scenarzysty, a tymczasem mamy tu coś podobnego.
– Pamiętam – odparła Karolina. – W każdym z odcinków czaiło się na niego jakieś niebezpieczeństwo.
Idąc, zwracali uwagę na ziemię i na strop. Obawiali się pułapki, która mogła kosztować ich życie. Po kilkudziesięciu krokach dotarli do kolejnych drzwi – tym razem metalowych. Na szczęście od wilgoci i upływu lat zawiasy były całkiem zardzewiałe. Wystarczyło lekko je podważyć, by z głośnym łoskotem, runęły na ziemię, wzniecając tumany kurzu. To, co za nimi ujrzeli, wprawiło ich w osłupienie. W odległości kilku metrów siedział oparty o ścianę najprawdziwszy kościotrup. Podeszli bliżej i oświetlili go latarką. Białe kości owinięte były w strzępy zmurszałej tkaniny. Szkielet spoczywał tak, jakby jego właściciel zasnął. Między palcami widać było rozdarty worek wypełniony zaśniedziałymi monetami.
– Chyba znaleźliśmy „naszego" poszukiwacza. Lepiej go nie dotykajmy. *Ut vivas, igitur vigila*! (Jeśli chcesz żyć, bądź ostrożny!) – Karolina zacytowała powiedzenie rzymskiego poety Horacego, znane wszystkim archeologom na świecie.
– Musimy uważać na ewentualne mikroby i trujące gazy. Te kości nie należały do człowieka, który zginął w walce albo w wyniku wygłodzenia. Jego śmierć spowodowana była czymś innym.

Ostrożnie ruszyli dalej. Po pokonaniu kilkunastu metrów napotkali na kolejną przeszkodę. Były to białe od porastającej je pleśni odrzwia. Domyślili się, że musiały być wykonane z drewna i dlatego stały się pożywką dla grzybów. Nie mieli rękawiczek. Bartek owinął więc dłoń woreczkiem z drugiego śniadania i z całych sił uderzył w przeszkodę. Zbutwiałe deski ustąpiły pod naciskiem, rozlatując się na kawałki. W świetle latarki dojrzeli przerażający widok - w obszernej komnacie stało trzynaście beczek, a pomiędzy nimi bielały kości wielu szkieletów. Zawahali się – wchodzić, czy nie?

[W tym miejscu Czytelnik przerywa lekturę i zadaje dzieciom pytanie o to, co mają zrobić archeolodzy – czy wejść do niebezpiecznej groty, czy uciekać z tunelu.]

Powietrze było zatęchłe, ale najwyraźniej nieszkodliwe. Pierwszy do komnaty odważył się wejść Bartek. Szybko zauważył, że dwanaście beczek wypełnionych jest starymi monetami, a trzynasta stała pusta. Dostrzegł, że najwięcej szkieletów znajdowało się właśnie przy tej, trzynastej, beczce.
– Udało się! Znaleźliśmy skarb! – wyszeptała Karolina, która weszła do komnaty tuż za nim.
– Niczego nie dotykajmy, coś tu jest nie tak, tylko jeszcze nie wiemy co… – powiedział Bartek. – Coś spowodowało, że poszukiwacze, którzy tu dotarli, a jak widać było ich sporo, zostali tu na zawsze. Nie chciałbym abyśmy podzielili ich losu. Ciekawe, co było w tej trzynastej beczce…? – Bartek nie zdążył dokończyć zdania, gdyż w tym momencie przez górotwór przeszedł dziwny pomruk, a skała zaczęła drżeć, jakby zaraz miała się zawalić.
– Uciekajmy!!! – krzyknął chłopak, złapał Karolinę za rękę i nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę wyjścia.
– A skarb?! – zapytała dziewczyna.
– To nieważne, jeśli się nie pośpieszymy, to zostaniemy tu pogrzebani żywcem! Bartek próbował przekrzyczeć narastający huk.
Ruszyli biegiem w stronę wyjścia. Mijając drewniane drzwi, słyszeli łomot walących się kamieni. Gdy dobiegli do metalowych drzwi, Karolina potknęła się i runęła wprost na siedzący pod ścianą szkielet. W wyniku zderzenia z worka wysypały się monety. Przerażona dziewczyna złapała jedną z nich i pobiegła dalej, czując na plecach podmuch wiatru z zawalającego się korytarza.
Do kamiennych drzwi dotarli w ostatniej chwili. Wydostali się na zewnątrz i wpadli w zarośla kosodrzewiny. Łomot walących się skał był nie do zniesienia. Na szczęście powoli ustawał, aż wreszcie zupełnie ucichł. Karolinie łzy ciekły po zakurzonej twarzy. Bartek na chwilę stracił słuch. Oboje ciężko dyszeli po szaleńczym biegu. Tunel był zawalony, a skarb na zawsze pogrzebany we wnętrzu Sokolicy. Najważniejsze, że udało im się ujść z życiem. Usiedli na niewielkiej polanie, by odpocząć i omówić sytuację.
– Wiem, co mogło być w trzynastej beczce – odezwała się Karolina. – Tam musiało być zatrute wino. Poszukiwacze, po dotarciu do skarbu, byli spragnieni. Pili je i umierali, stąd tyle kościotrupów w grocie. Wino z czasem wyparowało i dlatego ta ostatnia beczka była pusta.
– A poszukiwacz z workiem siedzący w korytarzu? – zapytał Bartek.
– Przypuszczam, że wypił mniej niż inni i dlatego udało mu się odejść kilkanaście kroków.
W tym momencie Karolina przypomniała sobie o upadku w trakcie ucieczki. Otworzyła zaciśniętą pięść, w której miała czerwońca – starodawną monetę ze złota.

***

W opowiadaniu połączono wątek o trzynastu beczkach (dwunastu z czerwieńcami i trzynastej z winem), których miało strzec troje drzwi, oraz informacje historyczne, dotyczące *spisków*, czyli ręcznie spisywanych „przewodników", ułatwiających dotarcie do skarbów ukrytych w górach. Jednym z najlepiej przebadanych *spisków*

jest *Opisanie ciekawe Gór Tatrów* autorstwa Michała Chrościńskiego, uczonego, alchemika i poszukiwacza skarbów z XVII wieku, wydane przez Stanisława Eljasza Radzikowskiego w 1905 roku. Fragment tego dokumentu dotyczy Beskidów, w tym Babiej Góry. Jednym z badaczy zajmujących się historią poszukiwaczy skarbów jest prof. Jacek Kolbuszewski, autor książki pt. *Skarby króla Gregoriusa. O poszukiwaczach skarbów w XVII i XVIII wieku*, wydanej w 1972 roku, wspomnianej przez bohatera opowiadania.

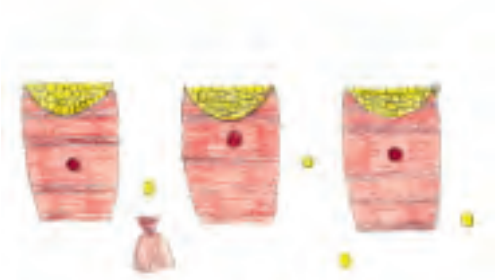

Trinásť sudov

Konečne prázdniny! Bartoš a Karolína boli čerstvými archeológmi. Všetko prebehlo podľa plánu. Hneď po obhajobe magisterskej práce sa rozhodli vycestovať do Zawoje a stráviť pár dní v horách. Podarilo sa im prenajať starú chatu v Zawoji Barańcovej a obďaleč bývajúci sympatický majiteľ im ponúkol raňajky a večere za dobrú cenu. Všetko šlo dobre okrem počasia. Od chvíle, keď dorazili do Zawoje, husto pršalo, preto boli akékoľvek výlety do hôr vylúčené. Bartoš sa rozhodol zakúriť v kozube a znudená Karolína pomaly prehľadávala malú knižničku. Boli v nej všetky vyslúžilé modlitebné knihy v koženom obale. Ale našla tam aj jeden exemplár známej kuchárskej knihy *365 obedov* od Lucyny Ćwierczakiewiczowej z roku 1860, *Životy svätého Františka* vydané v roku 1919 a zvláštny notes s vytrhanými, akoby obhorenými listami. Otvorila ho na prvej strane a začala nahlas čítať: – „Ja ťa žehnám, ty Poklad, diera a zakrytá ruda, silou a mocou Božskou žehnám ťa v mene toho, ktorý stvoril Nebo i Zem, aby si sa otvorila…" – ďalšia časť textu bola rozmazaná.
– Čo to čítaš? – opýtal sa Bartoš fúkajúc do ohňa, ktorý sa nechcel rozhorieť.
– Našla som nejaké zvláštne poznámky, vidno, že sú veľmi staré. Podľa toho, ako vyzerá obal a podľa kyselkavej vône sa mi zdá, že pochádza z konca 18. storočia – povedala ako znalec.
Karolína s čoraz väčším záujmom listovala strany, na ktorých boli okrem ťažko čitateľných poznámok aj tajomné znaky.
– „Magnet, perspektíva, oceľová špilka, svätosti, kadidlo, myrha, loretánsky zvonček…" – čo to môže byť? – rozmýšľala nahlas. – „Pri tej Babej hore neďaleko vidieť *Falco montis,* pri ktorej je veľká previsnutá skala, akoby chcela spadnúť dole. … Skús vstúpiť do *Falco montis* a Božia prozreteľnosť ti v tvojom veľkom úsilí pomôže nájsť a využívať veľa dobrého …".
– Klop, klop. Dobrý večer, priniesol som večeru! – hlas vstupujúceho domáceho prerušil čítanie.

– Dobrý večer. Dobre, že ste prišli – začal rozhovor Bartoš. – Medzi knihami sme našli starý notes. Viete komu patril?
– Áno, je to rodinná pamiatka. Zápisky človeka, ktorý v tridsiatych rokoch navštevoval môjho otca. Prichádzal pravidelne na svätého Jána, vravel, že ide od Šlemieňa, bol chudobne odetý, ale niesol so sebou veľké vrece. Zakaždým sa tajomným šepotom otca pýtal, či pre neho nájde dobrú uzamykateľnú miestnosť, lebo „to" – a tu ukázal na vrece – bude večer plné. Otec mu dával túto izbu, v ktorej práve ste, pretože bola jedinou uzamykateľnou na kľúč. Neviem v ktorom roku, nechal tu zápisník na stole a už sa viac neukázal… No, nechcem prekážať, dobrú chuť a dobrú noc, vraj sa má zajtra už vyčasiť.
– Dobrú noc, bodaj by ste mali pravdu – odvetil Bartoš.
Keď sa za domácim zatvorili dvere, obaja si sadli k zápisníku. Veľa strán bolo nečitateľných, na niektorých boli tajomné znaky: kríže, kolieska a mriežky. S ťažkosťami prečítali tri slová: „portae tres", „tredecim" a „dolio".
– Už som niekde niečo podobné videl – povedal Bartoš. – Ale kde?
– Tieto slová možno z latinčiny preložiť ako „troje dverí", „trinásť" a „sud"… „Montis" je hora, ale čo znamená slovo „Falco"? – rozmýšľala Karolína.
– Pozri do internetového latinského slovníka, možno to niečo znamená – poradil Bartoš a sám ešte raz nahlas prečítal: – … Skús vstúpiť do *Falco montis* a Božia prozreteľnosť ti v tvojom veľkom úsilí pomôže nájsť a využívať veľa dobrého … – Viem, čo to je! – skričal – je to zápisník hľadača pokladov, špeciálny sprievodca, teda … *zápisky*! – potešil sa.
– Pozri – vysvetľoval – magnet znamená kompas, perspektíva je kuker alebo skôr ďalekohľad, tie „svätosti" sú magické predmety, ktoré mali ochrániť smelého človeka pred nebezpečenstvom a zlými silami. Zvláštne nákresy sú reprodukciami skalných rytín, ktorými sa označovali miesta s ukrytými pokladmi. Čítal som o tom v knihe u profesora Kolbuszewského. Musíme rozšifrovať už len tajomný názov „Falco" a zistiť zmysel týchto pojmov.
– „Falco" znamená sokol – povedala Karolína sklonená nad smartfónom – takže „Falco montis" bude Sokolia hora alebo … Sokolica! – povedali súčasne.
– Takže už máme cieľ nášho zajtrajšieho výletu. Aj počasie sa má zlepšiť, aj dátum je výborný – zajtra je totiž deň svätého Jána, 24. jún, teda chvíľa, v ktorej sa, ako ľudia verili, otvárajú hory a odhaľujú ukryté poklady.
Karolína si pre istotu odfotila celý zápisník a zbalila batoh. Zobrala kompas a ďalekohľad, pribalila baterku, nožík a mapu. Rozhodli sa, že vyrazia skoro ráno, aby sa pod stenu Sokolice dostali skôr ako iní turisti.
Ráno ich privítalo hustou hmlou. Z chaty vyšli pred siedmou a kým sa dostali na horský chodník, kúpili si v obchode suchý proviant. Šli po čiernej značke, aby sa do útulne na Markowych Szczawinach dostali čo najrýchlejšie. Tu si chvíľu oddýchli a po krátkej prestávke pokračovali ďalej. Putovali cez Górny Płaj až do Szkolnikowych Rozstajow, kde odbočili na Perć Przyrodników – trasu vedúcu na vrchol Sokolice. V rannej hustej hmle pripomínali stromy, ktoré poväľal vietor, zakliatych rytierov spiacich pod hrubou dekou z machu a lístia. Po polhodine prišli ku kosodrevine. Pod nohami pocítili skalné rumovisko a pred očami sa im z času na čas

ukázala severná stena Sokolice. V jednom momente sa rozhodli zísť z vydupanej cestičky a prísť čo najbližšie k zvislej priepasti. Predierali sa zarosenými ihličnatými krami. Skaly ukryté v tieni masívu Babej hory boli mokré napriek tomu, že hmla pomaly ustupovala, a odkrývala fantastické výhľady na Zawoju. O chvíľu bez ťažkostí dorazili ku skalnému útvaru.
– Nemáme prilby, dúfam, že hore nie je nikto, kto by hodil kameň, mohol by nás zabiť – povedal Bartoš.
– Snáď budeme o chvíľu v bezpečí – povedala Karolína hladiac dlaňami skalu. – Pozri sem... na tejto mokrej stene vidieť stopu po značke, ktorú sme videli v zápisníku.
Dievčina vybrala telefón a rýchlo presúvala fotografie. Na jednej z nich boli zobrazené tri kruhy a na nich kríž – úplne identické ako na skale.
– Tu niekde musí byť nejaký vstup, možno jaskyňa, diera alebo niečo podobné...
– Bartoš hľadal v zalomených miestach a škárach stopy, ktoré by ho zaviedli ďalej. Medzitým sa Karolína rozhodla oddýchnuť si a sadla si na plochý, pomerne suchý kameň. Len čo kameň prisadla, spustila tajný mechanizmus, skala sa ustúpila a odkryla masívne kamenné dvere. Nehľadiac na nebezpečenstvo schytili batohy a z celých síl tlačili dvere dovnútra. Otvorili sa so strašným hukotom, zjavne tam dávno nikto nevstupoval. Rozsvietili baterky, ktoré osvetlili tmavú chodbu. Opatrne vošli dnu.
– Pamätáš si filmy s Indiana Jonesom? – opýtal sa Bartoš. – Myslel som si, že je to iba fantázia scenáristu a pozri, tu je niečo podobné.
– Pamätám – odvetila Karolína. – V každom z dielov na neho striehlo nejaké nebezpečenstvo.
Ako išli, všímali si zem aj strop. Báli sa pasce, ktorá ich mohla stáť život. Po niekoľkých metroch prišli k ďalším dverám, tentokrát kovovým. Na šťastie vplyvom vlhkosti a mnohých rokov boli ich pánty celkom zhrdzavené. Stačilo ich jemne vypáčiť a s veľkým buchotom spadli na zem rozvírili oblaky prachu. To, čo za nimi zbadali, ich úplne ohromilo. Niekoľko metrov od nich sedela o stenu opretá skutočná ľudská kostra. Podišli k nej a posvietili na ňu. Biele kosti boli ovinuté v prestarnutej látke. Kostra bola v takej polohe, ako by ten človek jednoducho zaspal. Medzi prstami mala roztrhnutý mešec naplnený sčernelými mincami.
– Asi sme našli „nášho" hľadača. Radšej sa ho nedotýkajme. *Ut vivas, igitur vigila*! (Ak chceš žiť, opatrný buď!) – Karolína zacitovala sentenciu rímskeho básnika Horácia, ktoré poznajú archeológovia na celom svete.
– Musíme dávať pozor na prípadné mikróby a jedovaté plyny. Tieto kosti patria človeku, ktorý nezahynul vo vojne, ani kvôli vyhladovaniu. Jeho smrť spôsobilo niečo iné.

Opatrne sa pohli ďalej. Po niekoľkých metroch narazili na ďalšiu prekážku. Boli to bielou plesňou zarastené veraje dverí. Uvedomili si, že museli byť drevené, preto sa stali potravou pre huby. Nemali však rukavice. Bartoš si preto dlaň ovinul vrecúškom z desiatej a z celej sily udrel do prekážky. Spráchnivené dosky náraz nevydržali a rozleteli sa na kúsky. Vo svetle baterky sa zjavil šokujúci obraz – v rozľahlej komnate stálo trinásť sudov a medzi nimi sa beleli kosti mnohých kostier. Zaváhali – ísť alebo nie?

/Na tomto mieste Čitateľ prerušuje čítanie a kladie deťom otázku, čo majú archeológovia robiť – či vstúpiť do nebezpečnej groty alebo utekať z tunela./

Vzduch bol zatuchnutý, ale nebezpečenstvo im z neho určite nehrozilo. Prvý sa do komnaty odvážil vstúpiť Bartoš. Rýchlo si všimol, že dvanásť sudov je naplnených starými mincami a trinásty stál prázdny. Všimol si tiež, že najviac kostier bolo práve pri tomto trinástom sude.
– Podarilo sa! Našli sme poklad! – zašepkala Karolína, ktorá vošla do komnaty hneď za ním.
– Ničoho sa nedotýkajme, ešte nevieme, čo sa tu stalo… – povedal Bartoš. – Niečo spôsobilo, že hľadači, ktorí sa sem dostali, a ako vidieť, nebolo ich málo, tu ostali navždy. Nechcel by som zdieľať ich osud. Zaujímavé, čo mohlo byť v tom trinástom sude…? – Bartoš ani nestihol dopovedať vetu, keď horou zaznel zvláštny zvuk, skala sa začala chvieť tak, ako by sa mala o chvíľu zrútiť.
– Utekajme!!! – skričal Bartoš, chytil Karolínu za ruku a bez toho, aby sa obzeral a rozbehol sa smerom k východu.
– A poklad?! – zastavila sa Karolína.
– To je jedno, ak si nešvihneme, pochová nás to zaživa! Bartoš skúšal prekričať zosilňujúci sa hukot.
Rozbehli sa k východu. Ako míňali dvere, počuli buchot valiacich sa kameňov. Keď pribehli ku kovovým dverám, Karolína zakopla a spadla rovno na kostru, čo sedela pri stene. Pri náraze sa z mešca vysypali mince. Prekvapená dievčina zobrala jednu z nich a bežala ďalej, cítiac na chrbte vietor zo zavaľujúcej sa chodby.
Ku kamenným dverám sa dostali v poslednom momente. Stihli vybehnúť von a spadli do kosodreviny. Hluk z valiacich sa skál bol neznesiteľný. Našťastie, postupne slabol a nakoniec úplne stíchol. Karolíne tiekli slzy po zaprášenej tvári. Bartoš na chvíľu stratil sluch. Po šialenom behu obaja ťažko dýchali. Tunel bol zavalený a poklad navždy pochovaný v útrobách Sokolice. Najdôležitejšie však bolo, že sa im podarilo uniknúť. Sadli si na malej lúke, aby si oddýchli a porozprávali sa.
– Viem, čo mohlo byť v trinástom sude – ozvala sa Karolína. – Muselo tam byť otrávené víno. Hľadači boli po tom, ako sa dostali k pokladu, smädní. Pili ho a umierali, preto je toľko kostier v grote. Víno sa po čase vyparilo, preto ostal posledný sud prázdny.
– A hľadač s mešcom v chodbe? – opýtal sa Bartoš.
– Mohlo to byť tak, že vypil menej ako iní a preto sa mu podarilo odísť niekoľko krokov.
Vtom si Karolína spomenula na svoj pád pri úteku. Otvorila stlačenú päsť, v ktorej držala červenec – starú zlatú mincu.

***

V tomto príbehu sa spája motív o trinástich sudoch (dvanásť s červencami a trinásty s vínom), ktoré strážilo troje dverí s historickými informáciami o *zápiskoch*, teda ručne písaných „sprievodcoch“ uľahčujúcich prístup k pokladom ukrytým v horách. Jedným z najlepšie preskúmaných *zápiskov* je *Opis nezvyklý štítov tatranských*

autorstva Michała Chrościńského, učenca, alchymistu a hľadača pokladov zo 17. storočia, ktoré vydal Stanisław Eljasz Radzikowski v roku 1905. Fragment tohoto dokumentu pojednáva o Beskydách a Babej hore. Jedným z výskumníkov, ktorí sa venujú dejinám hľadačov pokladov, je prof. Jacek Kolbuszewski, autor knihy s názvom *Poklady kráľa Gregoriusa. O hľadačoch pokladov v 17. a 18. storočí*, ktorá bola vydaná v roku 1972, a ktorú jeden z hlavných hrdinov príbehu aj spomenul.

Biedny i bogaty

W Zawoi Czatoży mieszkało niegdyś dwóch braci – Florian i Ambroży. Choć mieli wspólnych rodziców, to różnili się pod wieloma względami. Ambroży był niski i gruby, Florian wysoki i szczupły. Zapatrzony w siebie Ambroży postrzegał świat jako ciągłą walkę tylko o własne dobro, natomiast Florian urodził się z sercem na dłoni, każdemu ufał, z każdym dobrze żył, dzieląc się tym, co posiadał. Gdy dorośli, Ambroży stał się bogatym gazdą. Zachłanny i chciwy słynął z bezwzględności wobec innych. Nie wahał się oszukiwać i kłamać, byle dopiąć swego. Florian żył skromnie, gdyż miał jedenastoosobową rodzinę do wyżywienia. Mimo że pracował od świtu do nocy, zarobione pieniądze ledwo wystarczały na zaspokojenie bieżących potrzeb rodziny. O reperacji chałupy, kupieniu konia czy krowy nawet nie marzył.

Pewnego wiosennego dnia, na przednówku, Florianowej rodzinie zaczął doskwierać głód i zimno. Biedny gazda jak co dzień udał się do lasu po chrust. Zbierając suche drewno, dotarł do niewielkiej polanki usytuowanej pomiędzy skalnymi rozpadlinami niedaleko szczytu Małej Babiej Góry. Usiadł na skraju i odwinął ze szmatki pajdę chleba. Odpoczywając, marzył o lepszej przyszłości. Nagle usłyszał dziwne odgłosy. Ostrożnie, chowając się za skały, wyjrzał w stronę, z której dobiegał hałas. Ku swemu zdumieniu ujrzał trzynastu uzbrojonych zbójników, wyprowadzających konie z ukrytej wśród załomów skalnych jaskini. Gdy ostatni z nich wyłonił się z pieczary, herszt drużyny zabrał głos. Florian bez trudu rozpoznał go po czerwonym kolorze portek.

– Bracia – zaczął harnaś. – Wyruszamy na Liptów. Czeka nas daleka droga i niebezpieczne zadania. Nie wiadomo, czy z tej wyprawy wszyscy powrócimy. Przysięgnijcie więc, że żaden z was nie wejdzie do tej jaskini i nie zabierze z niej skarbów, dopóki cała nasza drużyna nie zejdzie się tutaj po wyprawie.

– Przysięgamy – chórem odpowiedzieli zbójnicy.

Po tych słowach harnaś zamknął kratę strzegącą wejścia do jaskini, a klucz schował pod płaski kamień kształtem przypominający serce. Zbójnicy wsiedli na konie i ruszyli Zbójeckim Chodnikiem na południe.

Florian trząsł się ze strachu. Wydawało mu się, że miejsce kryjówki zdradzi bicie jego serca, a wtedy niechybnie zginie z rąk zbójników. Wiedza o sekretnym wejściu do jaskini ze skarbami napawała go radością, ale i obawą. Gdy w oddali ucichł tętent koni, Florian wyszedł z ukrycia. Stąpając ostrożnie, tak aby nie zostawić śladów na błotnistej ścieżce, podszedł do kamienia w kształcie serca. Bez trudu

wydobył spod niego klucz, a następnie otworzył nieco zardzewiałą kratę i wszedł do wnętrza groty. To, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie. Jaskinia składała się z dwóch obszernych komnat. W jednej dostrzegł resztki siana, przeznaczonego dla trzymanych tu koni, a w drugiej, w której podłoga wyścielona była miękkimi dywanami – skarby. W każdym z zaułków groty znajdowały się skrzynie pełne drogocennych przedmiotów: srebrnych lichtarzy, naszyjników, pierścieni i złotych monet. Pod sufitem wisiał ozdobny żyrandol, prawdopodobnie zrabowany z jakiegoś dworu lub kościoła, a w centralnej części jaskini stał masywny, dębowy stół, na którym poukładano broń: szable, pistolety, noże oraz beczkę prochu i ołowiane kule. Florian był oszołomiony. Wiedział, że wszystko, na co patrzy, pochodzi z grabieży, jednak gdy ochłonął, postanowił zabrać tylko jedenaście złotych monet – tylko tyle, ile osób liczyła jego rodzina. Schowawszy je do kieszeni, zamknął jaskinię, odłożył klucz na swoje miejsce i wyruszył do wsi, zabierając ze sobą uzbierany wcześniej chrust.

Od tego momentu życie Floriana uległo poprawie. Złote dukaty umożliwiły naprawienie domu, dokupienie ziemi, a także nabycie dwóch krów, konia i wozu. Dzieci nie chodziły już głodne, żona przestała się martwić o przyszłość, a on zaczął więcej zarabiać, oferując sąsiadom transport oraz pomoc w pracach polowych.

Nagła odmiana losu Floriana kłuła w oczy chytrego Ambrożego, który nie mógł ścierpieć, że bratu zaczęło się lepiej powodzić. Zżerany ciekawością zaczął wypytywać żonę Floriana, w jaki sposób zdołali pokonać biedę. Dobroduszna kobieta opowiedziała szwagrowi o spotkaniu ze zbójnikami, opisała jaskinię pełną złota i miejsce, gdzie ukryty był klucz. Gdy Ambroży poznał prawdę, postanowił odszukać grotę. Następnego dnia, o świcie, udał się na Babią Górę. Po wielu godzinach poszukiwań odnalazł skalny wąwóz na Małej Babiej, który poznał dzięki starannemu opisowi kobiety. Był już późny wieczór, zaczęło się ściemniać, Ambroży postanowił więc ukryć się za głazem i doczekać świtu. Tuż po wschodzie słońca zauważył, że z jaskini zaczęli wychodzić zbójnicy. Zgodnie z tym, co mówiła bratowa, złożyli przysięgę na wierność, zamknęli kratę, a klucz schowali pod kamieniem przypominającym serce. Ambroży odczekał, aż zbójnicy zniknęli za skałami, wtedy wyjął spod kamienia klucz i wszedł do wnętrza jaskini. Widząc niezwykłe bogactwo, ogarnął go szał. Zaczął zakładać na szyję złote łańcuchy, upychać do kieszeni monety i drogie kamienie, biegał po komnacie, otwierając i przeszukując kolejne skrzynie i kufry. Pochłonięty gromadzeniem bogactw nie zauważył, że odjeżdżających zbójników było dwunastu, a nie trzynastu, jak mówiła żona Floriana. Jeden z nich, ranny w ostatniej wyprawie, pozostał w jaskini i z ukrycia obserwował Ambrożego. W pewnym momencie zamachnął się na niego kolbą od pistoletu. Ambroży, uderzony w głowę, stracił przytomność, a gdy się po kilkudziesięciu minutach ocknął, zauważył, że był związany i zakneblowany. Nie wiedział, co się z nim teraz stanie. Czuł ogromny strach, chciało mu się pić, a ból rozbitej głowy i nadgarstków, mocno skrępowanych sznurem, nie pozwalał jasno myśleć. Wkrótce do jaskini wrócili zbójnicy. Herszt drużyny rozpoczął przesłuchanie nieproszonego gościa. Ambroży, któremu przystawiono lufę pistoletu do skroni, opowiedział o swoim biednym bracie, o zabranych przez niego złotych monetach

oraz o sposobie, dzięki któremu dostał się do jaskini. Zbójnicy, chcąc ukarać nieposkromioną chciwość, obili gospodarza kijami, a następnie kazali wrócić do wsi i zaznaczyć krzyżem drzwi domu, w którym mieszka Florian. Chcieli ukarać także drugiego brata. Ambroży z żalem opuścił wypełnioną skarbami jaskinię, w duchu przysięgając zemstę. Jednocześnie cieszył się, że będzie mógł odpłacić bratu za to, co go spotkało.

– Skoro ja nie mam skarbu, to i on mieć nie będzie – pomyślał w duchu.

Do wsi dotarł późną nocą. Nie czekając ani chwili, podszedł pod dom Floriana i za pomocą kawałka węgla drzewnego narysował krzyż na drzwiach wejściowych. Odchodząc, zahaczył o stojące na progu wiadro z wodą, które przewracając się, narobiło sporo hałasu. Zbudzony Florian wyszedł przed dom. Zauważył rozlaną wodę, ale pomyślał, że to psy lub koty przewróciły wiadro. Już miał wracać do środka, gdy w świetle księżyca dojrzał krzyż wymalowany na drzwiach. Nie wiedział, co on oznacza i kto go namalował, ale podejrzewając podstęp, na wszelki wypadek wziął węgiel i w ten sam sposób udekorował wszystkie okoliczne domy, łącznie z chałupą brata. Następnego dnia, gdy Ambroży wyszedł z domu, zobaczył narysowany na drzwiach krzyż. Przeraził się nie na żarty. Złapał za szczotkę i tak długo mył deski, aż po rysunku nie pozostał żaden ślad. Gdy zbójnicy przyjechali do Czatoży, ze zdziwieniem zauważyli, że krzyże znajdują się na wszystkich chałupach z wyjątkiem jednej. Przekonani, że Ambroży opacznie zrozumiał polecenie, i właśnie ta nieoznaczona chałupa należy do Floriana, podpalili zabudowania i odjechali. W ten sposób mściwy i pazerny brat, który zdołał uciec z płomieni, został ukarany. Z bogatego gospodarza stał się biedakiem bez dachu nad głową.

***

Akcja opowiadania rozgrywa się w jednym z przysiółków Zawoi – Czatoży oraz w masywie Małej Babiej Góry, gdzie znajduje się Złota Studnia – najdłuższa ze wszystkich babiogórskich jaskiń. Otwór wejściowy tej groty znany był od 1922 roku, ale jej nazwa (wcześniej określana jako Niedźwiedzia Dziura) powstała dopiero w 1925 roku. Zaproponowali ją dwaj wybitni działacze turystyczni – Józef Merta (1908-1974) i Władysław Midowicz (1907-1993), którzy spenetrowali jej dno. W opowiadaniu wykorzystano często występujący w karpackich legendach motyw ukaranej chciwości. W powyższym przypadku historia potoczyła się w myśl starego przysłowia mówiącego, że „chytry dwa razy traci”.